TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY KOŁA WYSOKOGÓRSKIEGO PRZY ODDZIALE WARSZAWSKIM P. T. T.
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XIX ZESZYT 4

★

ZESZYT POŚWIĘCONY POLSKIEJ WYPRAWIE W ATLAS

W opracowaniu:

JANA K. DORAWSKIEGO, JERZEGO GOLCZA, LUDWIKA GORSKIEGO, STANISŁAWA GROŃSKIEGO, ZBIGNIEWA KOROSADOWICZA, KAZIMIERZA PIOTROWSKIEGO, JANA A. SZCZEPAŃSKIEGO I JUSTYNA T. WOJSZNISA.

Treść:

ZESZYT ZAWIERA 4 ROTOGRAWURY, 7 MAP, 9 FOTOGRAFIJ POZA TEKSTEM I 11 FOTOGRAFIJ W TEKŚCIE

★

KRAKÓW, KWIECIEŃ 1935 R.

REDAKCJA: J. A. SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO



W GŁĘBI AIT MIZAN

Fot. J. K. Dorawski

TATERNIK

ROCZNIK XIX ★ KRAKÓW, KWIECIEŃ 1935 R. ★ ZESZYT 4

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY KOŁA WYSOKOGÓRSKIEGO PRZY ODDZ. WARSZ. P. T. T.

EGZOTYZM I GOŚCINNOŚĆ

Dwie polskie wyprawy alpinistyczne, które wyruszyły w tereny wysokogórskie pozaeuropejskie, aby zerwać pierwsze laury w dążeniu ku nieznanym jeszcze szczytom górskim świata, mogą słusznie cieszyć się tem, że towarzyszył im element odkrywczy, pragnienie poznania krajów i wielkich przestrzeni, na których nigdy jeszcze nie stanęła stopa Europejczyka.

Wyprawa w Atlas może pozatem poszczycić się także podejściem do jednego z ostatnich egzotyzmów, dotychczas ukrywających się przed okiem cywilizowanego świata. Teren bowiem, na którym wyprawa polskiego klubu wysokogórskiego działała w czerwcu, lipcu i sierpniu 1934 r., aż do ostatnich lat był księgą zamkniętą dla geografa i turysty. Broniła go pamięć niedawnych walk, na nim stoczonych, tajemniczy egzotyzm ziemi niczyjej, bo zaludnionej przez prastare plemiona górskie Berberów, a wziętej w posiadanie przez Arabów, zaciekle trzymających się tych ostatnich placówek swojej niepodległości.

Mitraljezy europejskie wtargnęły niedawno w głąb tej ziemi rozległej i spalonej od słońca, ustępując odrazu podbojowi nawskróś pokojowemu. Miejsce ich zajęły narzędzia tak niegroźne dla życia ludzkiego, jak stolik kartograficzny, czekany i liny. A używać ich pozwolili Polakom ci, którzy kraj ten, a raczej wrota do niego, opanowali w drodze militarnej. Francuzi umożliwili polskim turystom uczynienie pierwszego kroku na ziemi zdobytej własną krwią.

I dlatego w paru poniższych słowach nie mam zamiaru akcentować nieporównanego egzotyzmu zakątka kraju, który nasi taternicy oglądali pierwsi z Europejczyków, nie chcę zajmować się owemi przyjęciami w starożytnych kazbach, któremi ich goszczono, prymitywami ludowych tańców berberskich, których przed naszymi turystami nie widziały prawie oczy cywilizowanego człowieka, owym całym fantastycznym, upojnym i drażniącym egzotyzmem — ale pragnę w paru słowach wyrazić wdzięczność zdobywcom wojskowym gór Wysokiego Atlasu, którzy uczynili gest tak wspaniały wobec synów zaprzyjaźnionego narodu.

Uprzejmość i gotowość pomocy, jaką spotykaliśmy na terenie Marokka zarówno ze strony decydujących, jak i podwładnych czynników kraju — była zaiste zdumiewająca i godna podziwu. Na terenach, na których pragnęła się poruszać polska ekspedycja alpinistyczna, jeszcze w kwietniu 1932 r. toczyły się walki zawzięte, a w chwili, kiedy zwiedzali je Polacy, pacyfikacja jeszcze nie była całkiem dokonana. Cóż łatwiejszego było, jak — pod jakimkolwiekbądź pozorem — wzbronić wstępu obcym, a potem zorganizo-

wać wyprawę swoich w tę ostatnią oazę egzotyzmu i jeden z ostatnich niezbadanych dotychczas kawałków globu ziemskiego u samych wrót Europy.

Tak nie uczyniono. Przeciwnie, służono chętnie radą, pomocą, informacją. Od generała aż do porucznika, aż do brygadjera, dowodzącego eskortą. Dbano nietylko o sukcesy geograficzne i sportowe wyprawy, ale także o bezpieczeństwo jej uczestników. Zachowano się więcej niż po przyjacielsku. Przez cały czas trwania wyprawy Francuzi byli dla nas rycerskimi i serdecznymi gospodarzami, raz jeszcze stwierdzając siłę tradycyjnej pzyjaźni polsko-francuskiej.

Kazimierz Piotrowski

DŻEBEL TUBKAL

...Na prawo są Uenkrimy, na lewo Tubkal. Entuzjazm doradza zaczynać od «rajdu gwiaździstego». *O oznaczonej godzinie spotkamy się na wierzchołku.*

Wierzchołek, to naturalnie Tubkal. Zaatakujemy go ze wszystkich stron. Najwyższy szczyt musi być w jakiś sposób uprzywilejowany.

Od Przełęczy Uanums rozciągają się żebra i granie Tubkalu aż chyba po przełęcz, którą nazwaliśmy Przełęczą Aferrui. Tubkal, Imus-zer, Aferrui, Tiheiri — rychło brzmienia tych nazw przestają być martwym zespołem liter na mapie, i stają się żywym tworem, pojęciami obleczonemi w skalne ciało i tętniącemi białą krwią śniegu.

A przekonywam się, że dla każdego z nas tak samo jak dla mnie, Tubkal nabrał szczególnej treści. Bo gdy po długiej podróży i nerwowem wyczekiwaniu pogody nastał wreszcie dzień ataku na szczyty, wszyscyśmy wyruszyli przedewszystkiem w masyw Tubkalu.

Wieczorem dzielimy się doświadczeniami i wrażeniami. Tubkal? Ależ naturalnie, i nową drogą, żlebem przez sam środek południowej ściany. Dużo śniegu, dużo mokrych skał, trochę mgieł i trochę braku aklimatyzacji. Ów, który znał dotychczas tylko Tatry, chwali się, że nie odczuwał wogóle różnicy wysokości. Inny narzeka na kask kolonialny, że haniebnie zawadza przy wspinaczce. Mnie nie chcą uwierzyć, iż zdobyliśmy nieznaną i dziewiczą turnię o przeszło stu metrach względnej wysokości (rekompensata za szczyt Tubkalu, do którego nie doszliśmy).

— Idźcie i przekonajcie się!

Nie chcieli.

Ale dwóch niewiernych Tomaszów musiało uwierzyć, gdy na fotograficzną kliszę ułowiło «naszą» Turnię Aferrui w całej okazałości. To było w parę dni później, gdy z Dorawskim i Gorskim szedłem znowu na szczyt Tubkalu, tym razem przez Tikint n'Uanas. Szedłem, i znowu nie doszedłem. Na nic się nie przydała efektowna rynna śnieżna w północnej ścianie Tikint, ani powietrzny uskok jego bloku szczytowego: doszliśmy tylko do Dżebel Imus-zer, i jazda wdół. Towarzysze mieli czekany i spłynęli po śniegu jak bobsleje, ale ja musiałem schodzić, wściekać się i schodzić. Dolina była w słońcu biała, a w śniegu szafirowa. Przed słońcem chroniłem się w haik z ręcznika, tatrzański sweter wdziewałem, gdy szedł cień. I wypowiadałem poglądy, że wszyscy bez wyjątku powinniśmy wejść na wierzchoł najwyższy.

Ale gdy znów minęło kilka dni, i na Tubkal wspięli się rudą ścianą Golcz i Groński, mnie znowu pomiędzy nimi nie było.

A potem zachorowałem, zmogło mnie słońce Atlasu (wielkie słowo!).

Aż niedługo przed odmarszem z Ait Mizan dowlokłem się i ja ostatni na szczyt, i z szerokiego plateau spojrzałem w przestrzeń, która była niższa. Droga, jakiej poszukałem sobie w ciężkim wysiłku woli i jeszcze chorych mięśni, nie była trudna. Ani mnie szlak haków nie prowadził, ani nie ubezpieczała napięta lina. Łatwe żlebki, grzędki i żebra wiodły pod granią na górny grzbiet. Bałucha posadu szczytowego była przysadzista, babiogórska. Śnieg roztapiał się w słońcu jak widok. Otwarte zbocze wskazywało najprostszą drogę powrotu.

Ale przestrzeń była zupełnie obca, tajemnicza. Zużyte, zmurszałe ściany, i żleby o białej pleśni, stały na kamienistym, jałowym wyżu, spalonym pionowem słońcem. Zielone morskie oko Ifni jak szot parowało z brunatnej doliny i było jedyną namiastką chlorofilu w obrazie. A spoza rdzawych, bliskich skał, powiązanych śniegiem, wyrastały zwietrzałe, geometryczne stożki, wrzące Sirua północnej Sahary. Przestrzeń była egzotyczna i tropikalna.

Na obszernym płaskowyżu szczytowym trójkąt mierniczy mówił o poprzednikach. Ale w tej afrykańskiej przestrzeni nie było wyższego znaku. Więc trzeba tu było przyjść. Bo czyż alpinizm nie jest religją oddali i wysokości?

Jan A. Szczepański

DŻEBEL AMCHARAS N'IGLIUA

Potężną ścianą spada przeszło czterotysięczny Amcharas n'Igliua ku Dolinie Ait Mizan. Dolne jej urwiska świecą stromizną płyt i przewieszek, przez które znaczą się dwa czarne ścieki wodne. Górne partje wyglądają już znacznie łatwiej — ale dół? czy człowiek zdoła przejść tamtędy?

W trójkę podążaliśmy wczesnym rankiem wzdłuż potoku, wijącego się doliną. Dorawski, Golcz i ja. Opuściwszy w górnych partjach doliny nikłą, ciągle gubiącą się ścieżynę, dążącą ku głębokiemu siodłu Tizi n'Uagan, zwolna posuwaliśmy się wśród niezmierzonych złomisk i piargów w kierunku stóp ściany.

Godzina 8.15 pod ścianą. Jeszcze przedtem, z pewnej odległości, rzut oka na teren naszej dzisiejszej walki ze skałą. Przez dolne, pionowo skrzesane urwiska, sączy się woda dwiema czarnemi smugami. Prawą z nich ma wieść nasza droga; lecz w górze jej świeci coś jakby lód. Lód na takiej ścianie może stanowić zaporę niedoprzebycia.

Pod ścianą krótka narada, związanie się linami, ostatni papieros czy fajka — i wejście w skały. Idę jako pierwszy. Spoczątku dość łatwo, tylko skała ogromnie krucha; wszystko, czego się człowiek czepia, ma ochotę powędrować wdół. Obawa, aby nie strącić głazów na stojących pod ścianą towarzyszów, zmusza do ogromnej uwagi. Mimo to jednak lecą drobne kamienie, z których jeden celnie trafia Dorawskiego w ramię.

Klucząc pomiędzy ruchomemi głazami po szutrem przysypanych półeczkach, pokonujemy pierwsze kilkadziesiąt metrów. Ponad nami zupełnie pionowa, bez żadnych punktów zaczepienia ścianka — wprost nie puści, więc trawers w lewo. Trawers po skąpych stopieńkach, ociekających wodą i pokrytych lodem, jest niezmiernie trudny: ręce i nogi, obute w trzewiczki, ślizgają się po lodzie.

Po długiej dopiero chwili stoimy poza trawersem na dobrym stopniu. W górze, nieco na lewo od linji spadku ścieku wodnego, ściana roz-

cięta wąską rysą. Ponad nią przewiesza się, a na przewieszkach widnieją wielkie sople czystego lodu.

To będzie najtrudniejsza część naszej drogi!

Dojście do rysy zamyka pionowa ścianka, którą przejść trzeba na samych rękach; decymetr po decymetrze wznoszę się w górę — trudności bardzo wielkie.

Ale po chwili stoję w rysie i wbijam hak. Skała wokół ogromnie krucha, wszystko, czego się chwycić, rusza się i wyłupuje.

Podciągam się wgórę na rękach i głaz, który mi służył jako chwyt, leci w przepaść. Po drodze uderza o linę — lina zostaje nadcięta. Trzeba się zatem przewiązać poza miejscem, w które ugodził głaz; niezmiernie to trudno uczynić, stojąc końcami palców na maleńkim stopieńku i trzymając się chwytu, który wyraźnie zdradza ochotę powędrowania w ślad poprzednika. Po dłuższej dopiero chwili i przy pomocy jednej ręki i zębów udaje mi się to uskutecznić.

Idę dalej. Biję znów hak, potem drugi i trzeci. Dorawski dochodzi do mnie. Po pewnym czasie rysa się kończy i staję nad przewieszkami. Dalsza droga wydaje się niepodobieństwem. Skała okuta lodem, ze wszystkich punktów, które mogłyby służyć jako chwyty czy stopnie, zwisają wielkie sople lodu.

Czy zawrócić? Powrót nie byłby łatwy, a zresztą ambicja i chęć pokonania ponurego urwiska nie pozwalają się cofnąć. Więc wgórę! Zrębuję powoli sople lodowe; bryzgi lodu lecą na mych towarzyszy. Oczyszczam jeden stopieniek i drugi, i w ten sposób zyskuję nowe pół metra wgórę. I znów to samo; praca niezmiernie wyczerpująca, ręce mdleją i marzną od lodu i spływającej z góry wody.

A ponademną, w odległości zaledwie kilkunastu metrów, widnieje już teren znacznie łatwiejszy. Byle tam dotrzeć!...

Wywinąwszy się popod przewieszkę, stanąłem na stopieńku na dnie samego ścieku wodnego. Woda zalewa twarz i ręce — czuję, że niedługo wytrzymam w tej sytuacji.

Kilka desperackich, ogromnie trudnych podciągnięć, gdy ręce i nogi nie mogą znaleźć prawie żadnego oparcia na zalodziałych chwytach i stopieńkach, chwila gdy wszystko stawia się na jedną kartę i... przewieszki zostają podemną.

Stoję w depresji powyżej dolnych urwisk ściany.

Długo odpoczywam, zanim mogę rzucić w kierunku moich towarzyszy krótkie: «chodź!»

Wolno przesuwa się lina przez owal zaczepionego o hak karabinka: teraz towarzysz walczy podemną z trudnościami przejścia. Dochodzi do mnie i razem wyciągamy worki. Są bardzo ciężkie, trzeba się też zmordować nad tem niezgorzej.

Dalsza droga już łatwa; o godzinie 12-tej, po czterogodzinnej walce ze skałą, lodem i wodą, stajemy na wierzchołku. Uścisk dłoni — pada suche określenie taternickie: droga nadzwyczaj trudna, piękna i eksponowana. Jak później miałem się przekonać, była to najpiękniejsza i najtrudniejsza wspinaczka, jaką zrobiłem w Atlasie.

Widok ze szczytu wspaniały, ogromnie rozległy. Na pierwszym planie, ku zachodowi, śmiało zaznacza się potężna piramida Tubkalu, a wokół niego morze wierchów i turni. Poza wierzchołkami Wysokiego Atlasu, widnieją ku północy błękitne pasma Dżebiletu i Atlasu Średniego, ku południowi zaś i południowemu zachodowi Anti-Atlas.

A daleko, daleko na samym krańcu horyzontu, znaczy się wąski pas koloru sino-szarego: to Ocean Atlantycki...

W PÓŁNOCNEJ ŚCIANIE TIKINT N'UANAS
Fot. J. K. Dorawski





PÓŁNOCNO-WSCHODNIA ŚCIANA
AMCHARAS N'IGLIUA
Fot. J. Kiełpiński

Krótko przebywamy na szczycie: czeka nas jeszcze dziś, przed zejściem do obozu, długa wędrówka granią. Przed zejściem ze szczytu pozostawiamy wizytówki, na których wpisano: «*Expédition alpine polonaise au Haut Atlas — I. ascension par la face Nord-Est, 26/VI. 1934...*»

Zbigniew Korosadowicz

DŻEBEL INCHEMAR

Skończyły się wspinaczki w grupie Tubkalu i w gniazdach jemu najbliższych. Po tygodniu pobytu na wysokości ponad 3100 m schodzimy odrazu na 1800 m. Gorąco znacznie większe, niż «u nas» pod Tubkałem. Tu smażymy się żywcem.

Pod wieczór, po całodziennym marszu docieramy do doliny Imminen. Na wysokości około 2300 m rozbijamy obóz Nr. 3. Następnego dnia krótkie rekonesanse w najbliższej okolicy. Na ich podstawie układamy program na następne dni. Dorcio, Bolek, Jurek i Korosad otrzymują do obrobienia grupę Likumt-Aksual. Pozostałe dwa Jajany, Kit i ja — Inchemar. Justyn pilnuje obozu i nogi.

Dnia 29 czerwca wyruszamy w czwórkę na Tizi n'Taszdirt. Tu dopiero możemy ustalić program szczegółowy. Jajany pójdą północną granią na Inchemar Zachodni, Kit zaś i ja zaatakujemy północną ścianę najwyższego, Inchemara Wschodniego. Dowidzenia!

Podchodzimy do stóp naszej ściany długim trawersem w lewo. Główna grań Inchemara mierzy przeszło kilometr długości, a najwyższy jej wierzchołek leży na wschodnim krańcu grani. Wkrótce zaczynają się skałki. Przewijamy się przez nie, wykorzystując półki i kominki. Wreszcie głęboko pod sobą spostrzegamy główny żleb ściany. Udaje się nam zejść do niego. Dno przeważnie pokryte śniegiem. Zakładamy okulary. U stóp żlebu pasie się stado owiec i kóz. Dwaj pasterze widzą nas i spewnością dziwią się. Cóż za obyczaje mają ci biali ludzie. Próbują iść do góry w krainę, gdzie niema nic prócz skał i śniegu. Poco? Tam przejścia niema.

Dziwni ludzie jednak uparcie dążą wyżej i wyżej. Żleb dzieli się niebawem na kilka ramion. Które z nich wybrać? Grań szczytowa w porównaniu z ogromem ściany wydaje się nieledwie pozioma. Niesposób rozpoznać, gdzie główny wierzchołek. Kilkudziesięciometrowe różnice wysokościowe na grani nie mogą być widoczne zdołu, z miejsca położonego o kilkaset metrów niżej. Pragniemy wejść o ile nie na główny wierzchołek, to na grań pomiędzy wierzchołkami. Zatem, o ile pójdziemy w lewo, lub wprost wgórę, to z uwagi na długi trawers u stóp ściany, możemy wyjść już poza głównym wierzchołkiem. Idziemy więc w prawo. Skała przedziwna. Mozajka warstw białych, czerwonych, zielonych. Zbieram kamienie. Ucieszą się niemi geolodzy, którym obiecałem przywieść jaknajwięcej okazów.

Nachylenie ściany rośnie. Ekspozycja duża. Dno żlebu zajmują strome śniegi lub siklawy. Posuwamy się więc prawą grzędą. W pewnem miejscu ścianę przegradza próg, który obchodzimy dość trudno w prawo. I znów trawers w lewo. Teraz labirynt półek. Nad nami to już chyba grań. Jeszcze kilka metrów. Ostatnia ścianka i jesteśmy na grani. Orjentujemy się, że główny wierzchołek znajduje się na lewo od nas. Będzie to pewnie ta turnia o kilkadziesiąt kroków oddalona. Wygląda na łatwą.

200 metrów niżej nas na północnej grani jakieś głosy. Po chwili spo-

strzegamy dwie postacie przewijające się wśród skał. Jajany! Leci zapytanie: *Comment ça va?* A potem pierwsze słowa naszego hymnu:

«Ej, cóż to za Syfony,
Ej, cóż to za Jajany...»

Zostawiamy plecaki i linę. Turnia, którą uważaliśmy za wierzchołek, wnet zrobiona. Spostrzegamy jednak o 200 m ku wschodowi jeszcze wyższe wzniesienie. Zatem to dopiero będzie główny wierzchołek, a my zapewne stoimy na Inchemarze Środkowym (3860 m). Mozolnie pokonywamy turniczki, uskoki, stopnie i siodełka. Wreszcie szczyt. Szczyt? Nie. Jest jeszcze coś wyższego przed nami. Jak długo potrwa ta zabawa w ciuciubabkę? Czy zdążymy przed wieczorem spowrotem do plecaków?

Skały piętrzą się groźnie, a my nie mamy nawet liny. No, trudno, spróbować trzeba. Schodzimy na siodło. Uskok grani wydaje się niedostępny. Obchodzimy go w prawo, potem w górę na piąterko pod turnią szczytową i znów w prawo na grzędę i nią dość trudno i w ekspozycji na grań. Jeszcze jedno siodełko i wierzchołek. O dziwo! Przed nami niema już nic wyższego. A jużeśmy się przyzwyczaili, że w takich razach inaczej bywało. Na Inchemarze Zachodnim widzimy odcinające się na tle nieba sylwetki Jajanów. Ale wkrótce znikają. Jest późno, ale my mamy czas, zamierzamy bowiem nocować na grani. Przyglądamy się widokowi. Ku zachodowi Tubkal z wszystkimi swoimi adherentami; ku wschodowi długo, długo nic, same naogół niewysokie bałuchy, a potem znów coś dla nas. Wysokie masywy o przeróżnych kształtach, M'Gun. Gdzie też jest ta biała plama na mapie, która nas tak przyciąga ku sobie?

Jajany dawno znikły, a my też rozpoczynamy odwrót. Linaby się mocno przydała. O, jak ładnieby tu się zjechało! A tu taki śliczny blok do asekuracji. Nic z tego, trzeba się obejść smakiem. Znów przechodzimy całą grań i schodzimy na Tizi n'Inchemar przed Dżebel Taszdirt. Zmrok nadchodzi. Trzeba znaleźć miejsce na biwak. Na wschód od przełęczy ciągnie się duże pole śnieżne. Wypływa spod niego potok. Tam zanocujemy. Będzie woda bez uciekania się do topienia śniegu. Wyszukujemy kawał suchej murawy, możliwie mało nachylonej. Kit z resztek zapasów wyczynia jakieś przedziwne frykasy, ja kombinuję jak będzie najlepiej spać. Po kolacji włazimy do śpiwora i udajemy, że śpimy. Potwornie zimno. O świcie konstatuję, że potok prawie całkiem zamarzł. Sączy się tylko mała strużka wody.

Przed wschodem słońca ruszamy. Dżebel Taszdirt, przełęcz, Dżebel Igenuan, i znów nadół. Na grani cuda. Na samym ostrzu sterczy mnóstwo iglic wyglądających jak Dolomity w minjaturze. Penitenty skalne. Docieramy do stóp Donicy. Jej wschodni uskok niezrobiony. Wartoby go machnąć. Piszą, że niedostępny, więc pokażmy, że jest inaczej. Lina, trzewiczki, haki — zabrane, plecaki zostają. Dwie długości liny bez przerwy w bardzo trudnej i mocno eksponowanej wspinaczce, i turnia nasza. Po marnie przespanej nocy ogarnia nas lenistwo. Lube ciepło, po rannym chłodzie, zaprasza do południowej drzemki. Nie żałujemy jej sobie. Potem dalej na Przełęcz Likumt. Dalej iść granią nie damy rady, trzeba już wracać do obozu. 1200 m wdół po usuwających się złomiskach przy 57° C to gruntowny przedsmak piekła. Wreszcie kwadrans przed obozem woda. Jak dobrze. Człowiek odżywa nanowo. Ostatnich kilkaset metrów lekko wdół i obóz. Wszyscy już wrócili. Eksploracja grupy wschodniej Masywu Centralnego Wysokiego Atlasu skończona. Teraz kolej na M'Gun.

STANISŁAW GROŃSKI

JAK TO BYŁO NAPRAWDĘ ALBO DŻEBEL LIKUMT

Wysoki Atlas. Gorący, skwarny dzień, monotonny, podobny zupełnie do wczorajszego i niewątpliwie identyczny z jutrzejszym.

Zmęczeni, zgrzani, zostawiamy zbędny na wspinaczce sprzęt pod wielkim blokiem skalnym. Pod względem wysokości — 3400 m — miejsce na biwak doskonałe, ale jeśli chodzi o wygodę?

Ostatecznie, niema właściwie żadnego powodu, by uskarżać się na ten przyszły biwak, na kamieniach w mrozie afrykańskiej nocy, obok pól śnieżnych. Toż tam na dole, na tej czerwonej, spalonej ziemi w namiocie oblężonym przez robactwo, nie byłoby lepiej. Czy tu, czy tam, dobry sen pozostanie jedynie nieziszczalną nadzieją.

Brudna woda zwolna kapie na błotnistych trawkach. Tędy trzeba się wspinać, bo to, według zdania jednego z kolegów, najłatwiejsze podejście. Ponieważ gdzieindziej byłoby tak samo, niema powodu do kłótni.

Zwolna zamieniam się w żabę oblazłą błotem. Godzę się z tym faktem bez trudu, bo to przecież dla celów wyższych — toż za chwilę będziemy się chlubić naszą nową, wspaniałą drogą.

A pozatem? Taternicy nierzadko przypominają raczej zmokłe kury, niż ludzi, alpiniści stają się podobni do białych bałwanów, — pardon, upiorów — których żadna miotła oczyścić nie może, dlaczego więc atlasowcy nie mają przypominać żab wynurzonych z najwspanialszego bajora bagnistej wsi?

My, marokańczycy, wiemy zresztą dobrze, że jedynie w starym kraju ludzi wyglądających jak my, określa się mianem «skąpanych w błocie». Tutaj nazywa się to znacznie poetyczniej, a jednocześnie w sposób dający ogromną dozę wewnętrznego zadowolenia, mianowicie: «oblani nimbem egzotyku».

Nareszcie ściana. Taka sobie zwykła tatrzańska, tyle, że czerwona. Korzystając z obowiązkowego odpoczynku, ktoś coś wcina, a reszta albo pije, albo szykuje się do losowania.

Dobre wychowanie i niemniej dobrze pojęta koleżeńskość wymagają, by nie przeszkadzać towarzyszom w ich zajęciach na odpoczynku. Spokój bowiem jest konieczny dla dobrego wykonania tak ciężkiego zadania, jak zdobycie dziewiczej jeszcze ściany.

Ale jeśli wymaga się niewtrącania w cudze sprawy, to jednocześnie nie trzeba, by inni interesowali się mojemi.

Z tego założenia wychodząc, oraz wziąwszy pod uwagę, że nie mamy «chef de cordée», który miałby jakieś prawo do oponowania, włażę spokojnie w ścianę.

Wspinaczka idzie gładko, ale 20 metrów wyżej zatrzymują mnie jakieś nadzwyczajne i absolutnie niezrozumiałe pogłosy. Siadam jak na stole na ogromnej tafli 10×10 cm i z ciekawością spoglądam wdół.

Gwałtowne gestykulacje, dziwnie wykrzywione oblicza, postacie raczej do koźlich, niż do sportowych podobne. Czy słowa staną się czynem? Spoglądam sobie cichutko zgóry, aż tu widzę — wściekła awantura zwrócona jest akurat w moją stronę!

Z gniewnego chaosu ktoś wreszcie decyduje się na kilka spokojniejszych słów. Do wszystkich Berberów świata! Wynika z nich, że ci wdole mają do mnie jadowite pretensje, zato, żem się pierwszy wziął w skałę.

Ma to być pono skandal nie do darowania!

...Dyskretnie oglądam się dokoła. I błogi spokój znów mnie ogarnia. Bo zanim moi towarzysze dosięgną mnie, minie kawałek czasu. I znowu będę mógł zwiać wyżej wgórę. Oddech z przyspieszonego przechodzi w normalny.

Chwilowo jestem bezpieczny, ale co będzie dalej? Toż na biwaku rozjuszeni rywale dogonią mię niewątpliwie, a bój jednego przeciw trzem byłby beznadziejny. Ha, trudno, nie widzę innego wyjścia, jeno przemienić się w dyplomatę i rozpocząć pertraktacje. «Ja przecież nigdy... ja tobie przecież wtedy też nic nie mówiłem, przeciwnie, odrazu przystałem na trzeciego...» I tak dalej, aby tylko zabezpieczyć się, a przecież pozostać przy swojem.

Ostatecznie zawieramy ugodę, mocą której ten najmilszy, ten, co to ma być ze mną na linie, podchodzi do mnie. Raz za razem rzucam mu linę. Moje gratulacje przybierają formę pamfletu, gdy ją wreszcie łapie po 27 rzucie.

Teraz przez pewien czas, bez dalszych dywersyj, wspinamy się gładko i równo, jak konie przy jednym dyszlu. Ale potem drogę zagradza nam jakaś «straszliwa i przerażająca» przewieszka. Pięć dobrze wbitych haków, wydaje mi się przez chwilę wystarczającą gwarancją, później jednak ogarniają mię wątpliwości. Toż podobno w Tatrach zejście poniżej 10-ciu w tak ściyrbnem miejscu uważa się za karygodną lekkomyślność. Trzeba zaciągnąć rady fachowca *ès* akrobacja tatrzańska:

Ja: Czy dosyć tych haków?

On: Możliwe, jeśli dobrze wbite.

Ja: Nie wiem, czy dobrze.

On: To wbij jeszcze ze trzy.

Ja: Niema gdzie!

On: To leź do góry!

Ja: A jak odpadnę?

On: Zatrzymasz się na hakach.

Ja: A jeśli wylecą?

On: Masz pięć, to jakby cztery prysły, jeszcze jeden zostanie.

Ja: A jak i ten wyleci?

On: To się możesz zabić, bo zlecisz z 50 metrów.

Ja: Ależ mnie tylko o ciebie chodzi, bo bezwątpienia cię ściągnę.

On: Nie bój się, mam tu hak cudownie wbity, nigdy nie wyleci, wal dogóry.

Rzeczywiście humor w Atlasie nie ustępuje niczem humorowi w Alpach. Tam bowiem jeden z kolegów tatrzańskich, człowiek zresztą o gołębiem sercu, radził mi w swej prostocie, widząc, że nie mogę nigdzie zaczepić liny, poprostu skoczyć wdół: «Bo tu jest taka wygodna platforma».

Ludzie gór mają poczucie *à propos* — bezwątpienia. Zamiast przewieszki, wybieram trawers. Co metr — dwa haki. A na nowej przewieszce dwanaście. Tu było miejsca dosyć na całej jej dwumetrowej wysokości. Mogłem jeszcze trzynasty ulokować, ale zląkłem się feralnej liczby i jej skutków, w postaci naprzykład wylecenia wszystkich w razie ewentualnego odpadnięcia. Dzięki tym i innym jeszcze hakom i zabiegom, bezpieczny jak zawinięty pstrąg, któremu nic już grozić nie może, ląduję na wierzchołku.

Towarzysz Nr. 1 zwolna wygrzebuje się z otchłani.

Ja: Jaka była droga?

On: Cała bez trudności, ale dojście do trawersu nadzwyczaj trudne.

Poczekajmy, co powie Nr. 2.

On: Cała droga bez trudności, ale trawers nadzwyczaj trudny.

Wypływa numer trzeci.

Ja: Cała droga bez żadnych trudności, ale co było skrajnie trudne?

On: Przewieszka ponad trawersem.

Ponieważ osobiście przychylam się do zdania przedmowców, uważając jednak za nadzwyczaj trudną rynnę w środku ściany, wobec tego proponuję, by drogę tę sklasyfikować jako w całości mniej niż bez trudności, ale z miej-



AGUDEL N'MZIER I AMCHARAS N'IGLIUA Z TIKINT N'UANAS

Fot. J. K. Dorawski

scami, które zależnie od indywidualności wspinacza, mogą okazać się bardzo ciężkie, lub stanowić niepokonalną zaporę.

Ocena ta spotyka się z ogólnym entuzjazmem, wobec czego, zjadłszy ananasa oraz nakarmiwszy się duchowo widokiem Sahary z jednej strony (czy to aby ona?) oraz oceanem z drugiej (orzeczenie, że to ocean, przeszło dwoma głosami przeciwko jednemu, przyczem czwarty wstrzymał się od głosowania), spływamy wdół na biwak, mając nadzieję (złudną jak przyszłość okazała), że mimo ostrych kamieni, uda nam się dobrze przespać tę lodowatą noc pod wyiskrzonem sklepieniem cudownego firmamentu Marokka.

Jerzy Golcz

A JAK SIĘ O TEM PISZE, ALBO ICHIL M'GUN

Muły już dawno odesłane. Zapomniana nawet ta wściekłość wewnętrzna, która mię żarła, gdy o 100 metrów ponad miejscem pożegnania mulników znalazłem doskonałą ścieżkę. Kilka godzin uginania się pod ciężkim worem, zamiast wygodnej jazdy, bez obciążenia.

Spośród kępy suchorostów wystaje trójkątny łeb żmiji. Zwrócony wprost na mnie. Nie mam nic w ręku, poza mym zaimprowizowanym czekanem atlasowskim w postaci krótkiego i cienkiego kijka, wyciętego niedawno, w celu utrzymania w ryzach mojego wierzchowca, a z którym nie rozstaję się (kijem, a nie wierzchowcem, o ile ktoś miałby wątpliwości).

Wrodzony instynkt samozachowawczy, tak cenny dla egzotycznego eksploratora, zachęca mię do szybkiej ucieczki. Ale albo się jest odkrywcą dziewiczych terenów, albo się nim nie jest. Postępuję «honornie» naprzód, polecając duszę Bogu i z sercem skrwawionem z tęsknoty za Dorjanem i jego strzykawką.

Ale oto nagroda dla męskiej brawury. Widząc mój wspaniały atak, żmija znika z horyzontu. Triumfalnie stwierdzam to pierwsze zwycięstwo. Zmrok szybko zapada. Rozglądam się za miejscem na biwak, potem obserwuję Kita, wynurzającego się w niebezpiecznej i mistrzowskiej wspinaczce spośród gęstwy karłowatych, poziomych trawników.

Nagle — ale czy to nie złudzenie? — drogę pomiędzy nami przecina zwolna zając, skubiąc sobie trawkę.

Tylko tego brakowało — nieszczęście nas nie minie.

Na skalnej kazalnicy zakładamy biwak. Czarna otchłań pod nami wokoło, huragan huczy i ziębi, przenika pod śpiwór Zdarsky'ego, mrozi i zniechęca.

Ale nie będę opisywał tej nocy. Wystarczy lakoniczne czy telegraficzne sprawozdanie: minęła.

Nazajutrz od rana godziny wyczerpującej wspinaczki. Osiągamy 3800 metrów. Potem wąska grań urywa się. Nadludzkim wysikiem, narażając ciągle swe życie, schodzę 3/4 zerwy. Na tem koniec, bo dalej podcięte. Nacóż mi się przyda ten wspaniały nagan zawieszony miast liny u pasa? Trzeba zawrócić — zając zrobił swoje.

500 m wdół, długie trawersowanie i znowuż do góry. Jeszcze raz trzeba zawracać, ale już niewiele. Jeszcze godziny niepomiernych wysiłków w podzwrotnikowym upale, wreszcie leżymy na grani pod szczytem.

Musimy odpocząć, zregenerować swe siły, musimy pokazać wszystkim, że niema przeciwności, mogących zwyciężyć «kwiat alpinizmu polskiego».

Szczyt jest już za nami. Zostały na nim nasze wory, bo powrócimy tu na biwak, po zdobyciu jego sąsiada. Trzy kopczyki na jego trzech wierzchołkach, to skromny dowód naszej woli zwycięstwa.

Będziemy mieli ciepło, bo Kit buduje cały azib.

Nie dbamy o huragan, ani o roje robaków. Pełni cichej radości z naszego zwycięstwa, wpatrujemy się w srebrzysty szlak drogi mlecznej.

Już nie zastraszą nas żadne przeszkody — sen nasz będzie spokojny i błogi.

Amsod już za nami, potem M'Gun 4 i 5. Upojeni powodzeniem, zdajemy się pływać po tej wysokiej grani. Na Tarkedit spotykamy kolegów. Ogólne gratulacje — wzajemny podziw — skromne słowa o niezmiernej wartości i zdolnościach górskich. Chociaż, jak ludziom czynu przystało, o swoich przewagach nikt nic nie mówi i swoich własnych zasług nikt nie podnosi.

Straszliwym żlebem prowadzi dalsza nasza droga. Nie wiem jakim cudem trzymamy się — dlaczego nie spadniemy z tych gładkich, wypolerowanych, piarżystych płyt? Żleb zmienia się w gardziel skalną. Na jego dnie woda. Z wysiłkiem i trudem pokonujemy wdół jego oślizgłe, wymyte, bezchwytowe progi. Ściany przewieszają się nad nami, potem uciekają gdzieś w górę, hen, ledwo skrawek błękitnego nieba rozjaśnia nam przestrzeń.

Nagle — przerażające postacie przed nami. Twarze brodate, posępne, «wzrok dziki, suknia plugawa». Nie nóż, lecz noże błyskają za pasem. Strzelby, rogi z prochem, straszliwe w swym ogromie. A w jamie, gdzie mieszkają, cały arsenał.

Bandyci! Ręka wylatuje wgórę na znak powitania. Ich ręce jeszcze prędzej. Ha — więc i oni się boją — bądźmy bohaterscy!

Wyciągam do połowy swego nagana i rozpoczynam rozmowę. Nieufność powoli znika — wzajemne ożywienie zupełnie roztapia lody. Widoczne z obu stron nastroje pokojowe, obopólne uznanie dla uzbrojenia przeciwnika, zamieniają początkową obawę we wzajemny szacunek i chwilowe zawieszenie broni w wieczysty pokój.

Raczą nas swoją herbatą (co za smak i urok gdy nią częstują «brigands»), rozmawiamy z przejęciem. Oni po berbersku, my po francusku, ale w ogólnem podnieceniu nie gra roli, że nikt nikogo nie rozumie. Pozatem gestykulacja właściwa ludziom, umiejącym się zawsze dostosować do okoliczności, ułatwia nasze zbratanie.

Męstwo nasze okazuje się bezgraniczne. Nawet nagan wsuwam o milimetr głębiej w pochwę.

Z bandytów mamy przyjaciół i traktujemy ich protekcjonalnie — szczycimy się zdolnościami poskramiania i cywilizowania — coby było, gdyby nie te wielkie, wspaniałe rewolwery.

Potem ogólny sallam, przyjacielska accolade i oglądając się pilnie na wszelki wypadek, dziarsko ruszamy wdół.

Po takich dowodach naszej inicjatywy, zdolności, wytrzymałości i odwagi głupstwem nam się wydaje konieczność pokonania następujących 400 m wdół, 800 m wgórę i znów 1000 m wdół, jak również nocne brnięcie bez światła (od czegóż prawdziwi ludzie gór?).

W obozie skromnie poddajemy się podziwowi kolegów, pełni wyższości i uznania dla ich własnych wyczynów.

Z przykrością pozwalamy wmówić w siebie, że coś nam się moralnie należy za 5 szczytów zdobytych, 2 biwaki, mróz, upał, huragan, robactwo. Duma eksploratorów powinna być schowana głęboko, nie należy unosić się uwielbieniem nad swemi wyczynami. Wystarczy przecież pozwolić admirować się i odczuwać zaledwie gdzieś tam w głębi delikatne zadowolenie. Trudy, walkę, zwycięstwa nas, alpinistów egzotycznych, będziemy mogli — jako naukę i wzór niedościgły — opisać później w «Taterniku».

Jerzy Golcz

W KENJONACH ARUSU

Po długich dniach wędrówki przez doliny, przełęcze i szczyty Ait M'Gunu, dotarliśmy nareszcie pod stopy najwyższego w tej grupie Amsodu. Obóz nasz, ósmy z rzędu w Atlasie, stanął nieco powyżej miejsca, gdzie Assif Arus wylewa się z wąskiej, skalistej doliny na ogromną trawiastą rówień, otoczoną niewysokim wałem górskim, ponad którym szarzeją w oddali wyniosłe stożki Tiferdin. Na małej platformie, pod cieniem kilku rozłożystych orzechów, rozbiliśmy nasze trzy namioty. Obok nad bystrym nurtem kanału prowadzącego wodę na pola jęczmienia, Mohammed ben Ali rozłożył swoje przybory kuchenne. Ognisko zbudowane z kilku kamieni, pogięty, okopcony sagan, patelnia, skrzynie z żywnością, ot i wszystko. Muły i eskorta stanęły opodal. Dalej poza obozem szare, pocięte strzelnicami mury kazby strzegą ujścia doliny, potężne zerwy zachodniego zbocza Tafanfanu zasłaniają bezmała pół horyzontu. Wdole mętne wody Assif Arus huczą w kamiennem łożysku, mknąc przez równinę ku głęboko wciętym, lesistym wąwozom, gdzie dziesiątkami kaskad spadają wdół do Ait Mallal — i dalej przez coraz to szersze doliny dążą hen w czerwonych piaskach ku dalekiemu oceanowi.

Przeżyliśmy już tak wiele. — Burze gradowe w Ait Mizan, zawieje śnieżne na ścianach Tubkalu i straszliwe upały pod Demnat czy w Iminen. I gorący huragan, walący z nóg ludzi i muły na przełęczach pod Agernddrar, gdy tumany czerwonego pyłu przesłaniały słońce, płonące żarem na niebie bez chmurki. I długie godziny spędzone na grzbietach mułów, stąpających wolno, w skupieniu, po zdradliwie wąskich perciach nad urwiskami. Przeżyliśmy w dolnych obozach noce parne, gorące, gdy piersiom brakowało oddechu, a całe ciało płonęło ogniem od ukąszeń moskitów i mrówek, i mroźne biwaki pod szczytami, gdzie gwiazdy lśniły blaskiem niespotykanym nigdy u nas w kraju. Dążyliśmy ku szczytom przez lasy mirtowe i wonne zarośla różowych rododendronów, przez szmaragdowe kępy ogromnych ostów i traw niebieskawych, twardych jak druty stalowe. Przez czarne bloki zastygłej lawy, czerwonawe piaskowce lub szare wapienie wdzieraliśmy się na granie nigdy nietknięte stopą białego człowieka, ku nowym, na żadnej mapie nieoznaczonym szczytom. Przeżyliśmy w tych górach wiele dni pięknych, coraz to innych, coraz to nowych. Dziś dodaliśmy do nich jeszcze jeden — «dzień wody».

Dolina Arus, jedyna droga w głąb potężnego pierścienia, utworzonego przez łańcuchy Maaralu i Amsodu, jedyny dostęp pod stopy ostatniego, dziwnie uparcie broniła się przed inwazją przybyszów z Europy. Już podczas pierwszego wypadu w stronę Amsodu mulnicy absolutnie nie chcieli iść w głąb doliny. na migi dając do zrozumienia, że przejście jest niemożliwe. Dużym nakładem sił i czasu obeszliśmy całą środkową część doliny, przeszło o 500 m powyżej po stronie południowej. Zgóry niewiele było widać, lecz dzika gmatwanina skalistych żeber, urywających się pionowo o kilkaset metrów ponad niewidocznem dnem doliny, kazała się domyślać, że przejście dołem byłoby istotnie ciężkiem zadaniem. — Druga partja, dążąca w stronę Maaralu, również obeszła dolinę, tym razem daleko po stronie północnej. Przez boczną dolinkę i dwie wysokie przełęcze pomiędzy szczytami Tafanfan i Ohri, osiągnięto nareszcie środek pierścienia górskiego. Tam natknięto się na nową zagadkę. Topografja terenu była zupełnie niezrozumiała. Ogromna, moczarowata polana, stanowiąca najwyższą część Doliny Arus oddawała swe wody na zachód, a więc w kierunku przeciwnym do biegu Assif Arus. Kilkogodzinne próby zejścia doliną nie dały rezultatu, zapadająca noc zmusiła wyprawę do powrotu znanym już nam, choć znacznie dalszym szlakiem. Wresz-

cie dwaj inni koledzy, wracający z Amsodu, daremnie usiłowali zejść wprost do środkowej części doliny. Po całodziennej walce z kruchemi skałami, po nocy spędzonej w urwiskach, przyszli do obozu głodni i wyczerpani, obszedłszy górą niezdobyte wąwozy.

Tego było nam już za wiele. Rezygnując z dnia wypoczynkowego, prawie cała ekipa ruszyła wgórę doliny ze stanowczym zamiarem sforsowania upartych kenjonów, by nareszcie zbadać, co się w nich kryje.

Słońce było już wysoko, gdyśmy opuszczali naszą zaciszną polankę ósmego obozu. Kopyta mułów zmąciły wody potoku i cały sznur zwierząt i ludzi począł zwolna wznosić się wgórę wąską, skalistą percią. Ściany doliny stawały się coraz wyższe, coraz bardziej strome, szum potoku słabł. — Pięćdziesiąt metrów — sto — stopięćdziesiąt. Ścieżka robi się coraz węższa i wije się wpoprzek grzęd i żeber skalnych. Wdole, pod nogami, szarzeją języki piargów, błyszczą gładkie płyty, gdzieniegdzie jakiś krzak czepia się stromizny. Potok wygląda teraz jak srebrna wstęga. Muły zwolna posuwają się naprzód, próbując ostrożnie każdy kamień. Mijają minuty i kwadranse. Teraz ścieżka łagodnie opada, a dno doliny progami wznosi się wgórę. Muły zbiegają kłusem ku szumiącemu potokowi. — Bród. I znowu powolne wznoszenie się na przeciwległe zbocze doliny. Mijamy ogromną skałę, podziurawioną jak plaster miodu. Szereg jaskiń, w kilku kondygnacjach nad sobą, uderza regularnością kształtów. Ile pokoleń ryło prymitywnemi narzędziami twardy piaskowiec, zanim powstały te groty. Ile tysięcy lat przeszło od tego czasu! A przecież dzisiejsze kazby, lepione z niewypalonej gliny i błota, niewiele różnią się od tych jaskiń z czasów troglodytów.

Dolina rozszerza się, las mirtowy porasta jej zbocza. Po lewej stronie pojawiają się rozległe tarasy jedne nad drugiemi, jakby gigantyczne schody ku szerokiej grani wyłaniającego się poza niemi szczytu. Na prawo urwiste ściany Tafanfanu cofają się wtył, ukazując długą boczną dolinkę, podchodzącą gdzieś wysoko pod czerwone skały szerokiej przełęczy. Wprost przed nami za zielonym wałem trawiastym, czarne, pionowe skały urywają się szeregiem kulis, zachodzących jedna za drugą. Przez faliste wzgórza i łąki zjeżdżamy znów do potoku. — Szlaki rozdzielają się, ten na prawo zbacza w dolinkę, ten na lewo wije się dziesiątkiem serpentyn w kierunku najniższego tarasu. Przed nami płaska, dość szeroka dolina, ujęta z boków w pionowe ściany. Potok płynie szerokiemi łukami wśród kęp wierzbowych i łach piaszczystych. Na ostatniej, trawiastej polance zostają muły i poganiacze. Dalszą drogę musimy już odbywać pieszo.

Żwawo ruszamy w głąb wąwozu, przedzierając się przez krzaki lub kopiąc się przez ławy piaszczyste. Tempo pochodu słabnie jednak szybko, gdyż potok, przerzucając się ustawicznie od jednej ściany do drugiej, co chwila zagradza nam drogę, a nie jest łatwy do przeskoczenia. Każdy szuka przejścia, jak umie. Ktoś, niedoceniwszy odległości, wpadł po kolana w wodę, teraz brnie środkiem potoku, ku zazdrości tych, którzy, mając jeszcze suche buty, muszą szukać dogodnych miejsc do skoku. Kenjon zwęża się coraz bardziej, co chwila zmieniając kierunek i po chwili wyprowadza na śliczną polankę, otoczoną kilkusetmetrowemi ścianami. Po lewej stronie silny strumień wody wypływa z bocznej odnogi kenjonu, a silny grzmot i wypryski piany każą się domyślać wodospadu. — Podchodzimy bliżej. Krótki, mroczny wąwozik, prawie całkowicie zajęty przez potok, kończy się rodzajem małego kotła. Ponad nim czarna szczelina w kształcie potwornej spirali przeszło trzydziestometrowej wysokości wyrzuca z ogłuszającym rykiem potoki białej piany. Wydaje się wprost, że skały pękną pod ciśnieniem tej strasznej śruby. — A o kilka kroków dalej, ta sama woda szemrze cicho w łożysku



Fot. J. K. Dorawski

DOLNY OBÓZ POLSKI W AIT MIZAN



Fot. J. K. Dorawski

DŻEBEL TACHRAT Z AIT MIZAN

samotnego drzewka, sterczącego wysoko na krawędzi ściany, napotkaliśmy przeszkodę, która ostatecznie zmusiła nas do odwrotu. Nowe zwężenie kenjonu, zawalone ogromnym blokiem skalnym, poprzez który staczał się wodospad, okazało się niemożliwe do przebycia...

A po dwóch godzinach leżeliśmy na piasku pod cieniem pionowej skały u wejścia do kenjonu. Doszczętnie opróżnione plecaki przypominają, że czas wracać do obozu, ale jakoś nikt nie ma ochoty ruszać się z miejsca. Przecież to dziś dzień wypoczynku. — W miarę ustępującego znużenia ożywia się rozmowa, snujemy nowe plany. Jutro o świcie jedni ruszą na Tazegzault, inni na Tazirt i Tafanfan. Jeszcze trzeba rozwiązać zagadkę górnej części Doliny Arus, sprawdzić istnienie przypuszczalnego przełomu, odprowadzającego wody ku Assif Tessaut. Może z Tazegzaultu zobaczymy owo nieznane jezioro, o którem wspominali przed tygodniem pasterze z Ams-zri. Jeszcze nasza mapa ma luki, które koniecznie trzeba zapełnić przed odjazdem. A czasu już tak niewiele zostało. Nie starczy go też napewno, by zbadać tę wspaniałą piramidę skalną, Dżebel Uaugulzat, która daleko na wschodzie wybujała ponad pomniejsze szczyty.

Ludwik Gorski

DŻEBEL TINERGET

Pracowicie buduję tamę z kamieni i żwiru. Poziom wody podnosi się w strumieniu i oto mamy gotowy basen. Z rozkoszą zanurzam się w zimnej wodzie.

Namiot rozbiliśmy na dnie głęboko wciętej doliny, w miejscu, gdzie rozwidla się ona na dwa, bystro wgórę wznoszące się ramiona. Ciasna dolina rozszerza się tu, tworząc zasłaną gruzem arenę. Potężnym filarem wisi nad nią żebro, dzielące oba ramiona.

Uważnie badam oczyma, co kryje ich wnętrze. Tak jakoś prędko i łatwo dla oka wznoszą się wgórę, wyprowadzając na grań, w świat powietrznych wędrówek, na skraju między czernią urwistych skał a białą jasnością nieba.

Z wielkiego głazu pod spiętrzoną boczną zerwą doliny — nowy widok. Wysoko wgórze, ponad wiszącem żebrem, wspaniała pionowa ściana. To Tinerget. O tej ścianie mówił nam w Ait Arus porucznik Gauthier: pionowe, kilkusetmetrowe urwisko, którego chyba nikt nigdy nie przejdzie.

Od szczytu biegnie w prawo poszarpana grań. Na nią mają ochotę dwa Jajany. Pójdą prawą doliną, stamtąd gdzieś wygodnie wydostaną się na grzbiet i dalej granią na szczyt.

Trzeci Jajan idzie ze mną. My podjedziemy mułami lewą doliną tak wysoko, jak tylko się da, a potem — potem zobaczymy. Może Aulim, może Tinerget właśnie «tą» ścianą, a może nawet jedno i drugie. Ewentualnie nawet dwa dni w terenie. No i koniecznie wyruszymy jaknajwcześniej. Jeszcze przy świetle księżyca. Perć wskaże miejscowy pasterz, a muły tak świetnie chodzą pociemku.

Jest też jeszcze zupełnie ciemno, gdy dosiadamy mułów, trochę zazdroszcząc towarzyszom, którzy zaspanemi głosami dowodzą nam, że oni mają jeszcze dużo czasu, że oni napewno zdążą, i że wogóle niema najmniejszego sensu tak wcześnie wstawać.

Ruszamy. Ja jadę na swoim olbrzymie. Gdy nocą w Nzala Argana pomacku wybieraliśmy sobie wierzchowce, z wielkim, pomimo pomocy, tru-

dem wdrapałem się na pierwszego z brzegu. Czułem, że coś jest nie w porządku. Siedziałem jakoś dziwnie wysoko. Chyba przez pomyłkę nie dali mi wielbłąda. Dopiero gdy ujechaliśmy duży szmat drogi, przy pierwszych blaskach świtu ujrzałem cały ogrom mego muła. Drugiego tak wielkiego chyba niema w całem Marokku. Mój szacunek doń zwiększył się jeszcze na wiadomość, że służy on zwykle samemu mokkademowi.

Dorciów muł był o wiele skromniejszy. Zato jazda na nim miała swoisty wdzięk. Na grzbiecie bowiem, miast derki, nosił z obu stron zwisające dwie rozbuchane torby. To też siedziało się na nim, jak na kanapie. Całą gębą — szeroko i zawiesiście. Tylko, że kanapa ta miała swoje maleńkie ale. Niczem nieprzytwierdzona, lubiła przechylać się na jedną lub drugą stronę, albo nawet nagle zupełnie się spod jeźdźca wysunąć.

Ot co! — nieustabilizowana była i naturę miała fantazyjną.

Muły szły wolno i potykając się co chwilę. Perć wkrótce skończyła się i pasterz, idący przed nami, chytrze lawirował, wynajdując między głazami drogę z jednego prożku na drugi.

Szarzało coraz bardziej i prędko zrobiło się zupełnie widno. W samą porę, bowiem droga była coraz bardziej ślyrbna i coraz częściej kanapa z naszemi plecakami wylatywała spod Dorcia. Po takich zbyrkach jeszcześmy w Atlasie nie jeździli.

Przemyślnym, wąskim gzymsikiem wjeżdża Dorciów mulik na malutką płasienkę. Tam, drepcząc ściągniętemi do kupy kopytkami, powolutku obraca się wbok i rusza wprost wgórę poprzez strome korytko, zasłane sypkim piargiem.

Nie lubią atlasowskie muły piargów. Widzę, jak trzęsą się i gną nogi rumaka, jak rozpaczliwie szarpie się on naprzód w poszukiwaniu jakiegoś stałego punktu oparcia. Nagle wali się na bok i «porzucając» jeźdźca, obsuwa się kilka metrów wdół. Ląduje tuż przede mną, na malutkiej płasience ponad zerwą.

Takto i wódz nasz, sam Pan Kierownik Wyprawy, dzielny członek klubu ścigantów, wstąpił pod koniec wyprawy i do klubu dżentelmenów.

Mam zaufanie do mojego muła. Daję mu solidny doping piętami i z fasonem wjeżdżam na «pionowy» piarg. Olbrzym rwie do góry, ale i jemu gdzieś się zapodziewają nóżki, więc ciężko pada na brzuch i powoli sunie z całym strumieniem szutru wdół.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów takiej drogi i przewodnik nasz oświadcza na migi, że dalej muły nie wyjdą. Bardzo chętnie mu wierząc, zeskakujemy jaknajszybciej na ziemię. Stąd do szczytu mamy już tylko 1250 m wzniesienia.

Wspaniałym zachodem wydostajemy się na żebro i niem walimy dogóry. Gdy jednak zaczyna nam zagrażać słońce, schodzimy do depresji i w nieustannej, choć łatwej, wspinaczce zbliżamy się do właściwej ściany.

Właściwej, znaczy — Tinergelu, bo stąd już widać wyraźnie że... żeby tylko puściła!

Po godzinie zatrzymaliśmy się na malutki odpoczynek. «Twój plecak jest cięższy od mego — mówi Dorcio — może będziemy się zmieniać worami co godzinę». — «Zgoda» — odpowiadam, i głęboko w pamięci karbuję sobie tę propozycję.

Pierwszy raz idziemy razem we dwóch, więc nic dziwnego, że jestem trochę ciekaw towarzysza. Ale wiem już teraz swoje. Dorcio napewno się dziwił, skąd mam tak nagle rozradowany uśmiech na twarzy.

Depresja zmieniła się wgórze w głęboki żleb, o dnie wypełnionem śniegiem. W głębokiej szczelinie brzeżnej ukazał się pasiasty układ nawarstwień lodu. Ten jedyny chyba w całej tej grupie górskiej biały skrawek był więc

maleńkim lodowczykiem. Wzruszony zaproponowałem zjedzenie czegoś solidnego.

Po śniadaniu włazimy w ścianę. Na lewo i na prawo urwiska zupełne, ale naszym kominem można jeszcze iść bez asekuracji. Zatyka nas przewieszka, zasłana ruchomemi głazami od góry. Jakoś nieporęcznie nam wprost przez nią. Więc asekuracja. Dorcio podchodzi na moją wysokość, robi trawers i już jest nade mną. Teraz jadą na linie pokolei oba plecaki, zgodnie ze zwyczajem zacinając się po drodze. Wciśnięty pod przewieszkę, obserwuję lecące z niej kamienie. Czas na mnie. Gąsienica t防ernicka posuwa się wgórę.

Ściana z obu stron piętrzy się wspaniałą pionową płytą. Gdzieś wysoko nade mną zdobywa ją Dorcio. Ciszę przerywa tylko czasem furkot strąconego liną kamyka. Jest mi tak wygodnie, tak dobrze, tu, na wywieszonym ponad przepaścią balkoniku.

Żar, lejący się z nieba, rozleniwia, a miękka lina, przemykając się między końcami palców, budzi niemal zmysłową rozkosz. Rozpalona skała przyciąga oczy i dłonie...

Znów ja prowadzę. Właściwie najwygodniej byłoby tem zacięciem, w którem właśnie jestem, wprost wgórę. Tylko, że ściana trochę ucieka nam wlewo, tak, że to nie byłoby — wprost na szczyt.

Człowiek rozsądny — słońce nas już tak dawno dopadło — uśmiecham się z politowaniem nad sobą i walę kilka metrów wprost wgórę. Potem — potem przenoszę się do rysy na lewo i znów ją porzucam dla skośnie w lewo biegnącego zacięcia, a dalej już tylko wprost wgórę aż do samego szczytu.

Więc jednak ściana pięknie samym środkiem rozwiązana. Udał nam się ten Tinerget. Wiadomo — pionowe «bez chwytów i stopni» urwisko.

Na szczycie kilowa puszka kompotu i gara. Po godzinie dopiero ukazują się daleko wdole dwie postacie Jajanów, sunące powoli w potokach palącego słońca. Ich grań, niestety, widać to dobrze zgóry, zupełnie nieciekawa. Piarżysko, urywające się z jednej strony stromemi ścianami. Rozpiera nas duma, że to my pierwsi, że piękna ściana już za nami i postanawiamy jeszcze skoczyć na Aulim.

Prędko zbiegamy kilkaset metrów wdół na przełęcz, zostawiamy plecaki i znów wgórę. Teren klasycznie nieco trudny. Właściwie wszędzie puszcza, tylko że nie odrazu można owo «wszędzie» odnaleźć. Coraz to gdzieś się zapycham i krzyczę do Dorcia — nie chodź tędy!

Wreszcie zapchałem się dokumentnie. Ale przecież nie będę wracał kilkanaście metrów tym jakimś nijakim kominkiem. Więc najtrudniejszy trawers i wkońcu «nieco trudno» wychodzimy na szczyt. Tu znów odpoczynek. Szukam «prawdziwej» ściany Aulimu. Z trzech stron niema jej napewno. Schodzę więc kilkadziesiąt metrów spod szczytu w pozostałą stronę świata i konstatuję, że tam to może jest. Tak jakoś niebardzo co pod nogami widać. Tylko że dostać się do niej, dla nas zupełnie nieporęcznie.

Postanawiamy więc powrót. Tym razem lawirujemy z drugiej strony grani. Nisko, już pod przełęczą spotykamy się we czterech. Plecaki idą na muły, nam jednak niebardzo chce się wierzchem paradować. Dopiero gdy robi się mniej stromo, zachęcony przykładem Dorcia, dosiadam swego muła.

Jest jeszcze zupełnie widno, gdy docieramy do obozu. Sierżant podaje nam szklaneczki pełne aromatycznej herbaty. Rozciągam się wygodnie na dużej płycie kamiennej.

Wysoko nade mną widnieje północna ściana Tinergetu.

Justyn T. Wojsznis



AMCHARAS N'IGLIUA

Fot. J. Kiełpiński

LUDZIE I RZECZY

Cztery instancje władz francuskiego protektoratu w Marokku przebrnęła nasza wyprawa. Źle mówię: nie przebrnęła, lecz przeszła gładko, łatwo i szybko. Na każdym szczeblu władzy Francuzi byli bardzo uprzejmi, co nie jest trudne i ważne. Francuzi byli b. uczynni i pomocni — zwłaszcza na niższych szczeblach — co już jest godne podkreślenia. A wreszcie: nie spotkaliśmy się z beznadziejnym biurokratycznym systemem, utrudniającym życie urzędnikom i stronom. Czyżby go nie było w kolonjach francuskich, czy też wyjątkowo nie zastosowano go do naszej sprawy?

Pan konsul Vattier w Residence Général w Rabat przyjmuje nas natychmiast po zameldowaniu. Wypytuje dokładnie o organizację i cele wyprawy — równocześnie zaś sekretarjat jego wygotowuje odnośne akty. Po pół godzinie wychodzimy, mając w rękach pismo polecające do komendanta okręgu Marrakesz. Generał Catroux już nie pisze — wyda ustne polecenie przy raporcie szefowi *Bureau régional des affaires indigènes.* Wszelkie ułatwienia oczywiście. Generał jednak musi trochę imponować, więc nie obiecuje odrazu pozwolenia na zwiedzenie M'Gunu. Więc oświadcza, że topografowie francuscy już wszystkie dostępne tereny skartografowali («Vous n'avez rien à faire à ce sujet»). Na szczęście wiemy, że tak nie jest.

Kapitan Chollet z *Bureau régional* w Marrakeszu jest naszym «oficerem łącznikowym». Wszystko załatwia natychmiast telefonicznie. Telefon do Demnat, telefon do Imi n'Tanut, telefon do Nzala Argana. Ogólny program — dokładne dane personalne. Kpt. Chollet już wie, że możemy jechać w pasmo M'Gun. Granice zakreśli szef biura w Demnat. Godzinę trwa przygotowanie naszych wypadów w tereny odległe od siebie o 300 km.

Tak dostajemy się w ręce władz pierwszej instancji, ludzi żyjących w *bledzie.* Tu już stosunki nasze nie ograniczają się do spraw ściśle urzędowych. Wkraczają także na teren prywatny. Nic dziwnego — wśród morza tubylców zbliża nas do siebie pochodzenie europejskie. Porucznik Gauthier z Demnat daje nam eskortę wojskową i organizuje karawanę, ustala z nami dokładny co do dnia program działań, przyjmuje nas w swym wytwornym domu, gości potem u nas w obozie w Arus, czyni nam gorzkie wyrzuty, że przekroczyliśmy jego instrukcje, nocując w górach poza obozem głównym.

Jest odpowiedzialny za naszą całość.

*

* *

List żelazny pisany był arabskim charakterem. Nie rozumieliśmy oczywiście jego treści, lecz przetłumaczył go na francuskie sam wystawca, por. Gauthier. Stylem napoły biblijnym, napoły jakby z bajki 1001 nocy wyjętym, nakazywało pismo wszystkim sziurom krainy Ftuaka okazywać pomoc naszej wyprawie i nie żądać nadmiernych cen za sprzedawane produkty.

To ostatnie zapewne niebardzo podobało się Berberom w kraju, gdzie kupiec żąda za sprzedawany przedmiot dwudziestokrotnej sumy jego wartości. Ale stosowali się do rozkazu bezwzględnie. Co więcej — często uważali nas za swych gości. Kazby w Igher n'Igherm, w Ait Attik, w Rugult — klepisko przed obozem w Ait Arus — widziały prawdziwe uczty wydawane na naszą cześć.

Na matach, na wzorzystych kilimach marokańskich kręgiem siadali biesiadnicy. Wrząca herbata marokańska, pita w kilku kolejkach z małych szklaneczek, skracała oczekiwanie, aż kuchnia wygotuje potrawy. Przekąska wstępna dziwnie skombinowana: orzechy łuskane, migdały i jaja na twardo.



Fot. J. K. Dorawski

Przyjęcie u sziura w Ait Attik.

A potem dania mięsne: kura, pływająca w sosie, baranina pieczona, baranina w sosie w kilku nieraz odmianach — szły szybko naraz po sobie. Potem kus-kus — potem chleb z masłem i miodem. Co zostało od głównego «stołu» naszego, wykańczano przy stole poślednim — domowników gospodarza i żołnierzy naszej eskorty.

Jedzenie przy pomocy palców prawej ręki to sztuka dość trudna. Byliśmy jednak na tyle pojętnymi i zręcznymi uczniami, że już przy drugiej lub trzeciej uczcie uprzejmy gospodarz nie musiał pomagać swym gościom i odrywać własnoręcznie kawałków mięsa, ani wkładać im do ust kulek utoczonych z kus-kus.

Sziurowie berberscy byli uprzejmi, dystyngowani, ceremonjalni i naiwni. Sziur w Igher w odwiedziny do naszego obozu, odległego od jego kazby o sto metrów, przybył na grzbiecie muła. Ale cukierki chciał jeść razem z papierkami ochronnemi, a poczęstowany jabłkami rozumiał, że wszystkie już do niego należą i kazał je odnieść do kazby razem z naczyniem.

Nie zanudzali nas pytaniami i ciekawością. Mimo że rozmowa przy pomocy tłumacza mogła dotykać wszelkich materyj, ograniczała się tylko do grzecznościowych frazesów i do rzeczowych umów o dostarczenie żywności, przewodników, wskazania drogi i t. p. Sziurowie przyjmowali na odjezdnem podarki w naturze lub pieniądzach. Żegnali nas uściskiem ręki człowieka wolnego i równego.

*

* *

Jeszcze przed rokiem leżał M'Gun w zasięgu walk z dyssydentami. Jeszcze na wiosnę wydarzył się na jego terenie napad na oddział legjonistów. Dostaliśmy więc eskortę wojskową.

Trzech żołnierzy sułtańskich — *mohrazni*, jak się mówi z arabska — ubranych w białe turbany i błękitne dżelabby. Trzy ogiery — dwa kare, jak skrzydło kruka, jeden siwy — ogniste i piękne. Trzy karabinki Lebelle'a. Siła zbrojna nie była zbyt potężna, mimo że mogła liczyć na pomoc naszych siedmiostrzałowych Nagant'ów. Była jednak widomym dowodem dla całego szczepu Ftuaka, że wyprawa stoi pod opieką *szeryfa* i *marzena*. Nasza krzywda zostałaby pomszczona. Co więcej, sprawca naszego niezadowolenia zostałby ukarany. Siła zbrojna miała znaczenie symboliczne i doprawdy nigdy nie mogłem się dowiedzieć, czy jej karabiny miały stale ostrą amunicję.

Jeździli, jak djabły, na wysokich arabskich kulbakach, świecąc gołemi piętami i kłując boki końskie ostrym kantem strzemienia. Na płaskiej równinie Ait Arus urządzili fantazję z takim temperamentem, krzykiem i gestami, jakby atakowali rzeczywistego nieprzyjaciela. Spali często pod gołem niebem z siodłem pod głową, ale nieraz byli gośćmi sziurów.

Brygadjer Thami, poczciwie wyglądający grubasek, o kunsztownie powygalanej brodzie żył ze swemi żołnierzami zapanbrat. Z mulnikami nie zadawał się, traktował ich jak sługi, i trzymał ostro. Wobec nas był pełen

respektu i przychylności. Porucznik Gauthier musiał mu dobrze wpoić przekonanie, że jest odpowiedzialny za naszą całość, bo brygadjer troszczył się o nią do przesady. Nasze częste biwaki poza obozem były dlań źródłem wielkiego niepokoju. Żadne perswazje nie zdołały go odwieść od zorganizowania wyprawy ratunkowej całej wsi Ait Attik po jednego z nas, który wcale ratunku nie potrzebował. Jak zdołano w krótkim czasie odnaleźć go w nocnej ciemności, mimo że na wołania nie odpowiadał, pozostanie tajemnicą.

Żegnaliśmy swą eskortę na rynku w Demnat serdecznym uściskiem dłoni. Prości, uprzejmi ludzie — polubiliśmy ich.

* * *

Blisko trzydziestu mulników berberskich służyło nam w trzech naszych karawanach. Gromada ludzi — zbiorowisko przeróżnych typów. Dominował jednak liczebnie przeciętny, potulny, w mocno brudne łachmany przyodziany homo. Wydatne nosy, duże oczy, skąpe bródki podobne były do siebie na równi z imionami. Ahmed, Mohammed, Ibrahim i Lhassen przeplatały się w różnych kombinacjach. Bo za nazwisko służy im imię ojca.

Chętni, usłużni i wytrwali kłusowali obok mułów całemi godzinami. Podnosili wówczas do góry, a nawet zarzucali sobie na głowę swe powłóczyste szaty. Migały bronzowe i chude łydki pod barwnemi majtkami. Najwspanialsze kolory były zielony i ametystowy, noszone przez paru elegantów. Inni — biedniejsi — mieli majtki koloru nieokreślonego. Jakieś brudnoszare.

Wieczorem lub rano, zależnie od rozkładu zajęć, przyjemna chwila wypłaty. Husseiny i Mobareki brały po 10 franków dziennie na siebie i muła. Mam wrażenie, że była to suma dość znaczna w kraju, gdzie tubylec może wyżyć za darmo. Tak przynajmniej urządzali się nasi ludzie. Pod koniec pobytu w górach każdy z nich miał całkowity zarobek nienaruszony. Jak się to działo? Pewne światło na to zagadnienie rzuca zajście w Ait Attik, gdzie miejscowy chłop oskarżył mulników o kradzież zboża. Gwałt i krzyk chłopa wypełniał całą dolinę ku szalonej uciesze szkodników, którzy pokładali się ze śmiechu.

Spośród nijakiej i potulnej większości zapamiętałem kilku ludzi krnąbrnych, hardych. Był taki Si Hemmu ben Mulid, który odznaczał się nietylko rzadkiem nazwiskiem i jeszcze rzadszą umiejętnością czytania, ale i intryganctwem. Niedość, że nie chciał słuchać rozkazów sierżanta Belaida, ale próbował mu zepsuć opinję wobec nas. Oskarżał go o... picie wina. Buntownik ten nie orjentował się stanowczo w sytuacji.

Był inny, olbrzymiej postawy starzec, o białej brodzie proroka, który ni stąd ni zowąd ściągał juki ze swego muła i oświadczał, że dalej iść nie może, bo muł jest chory i zdechnie. «Trudno, staruszku, jeśli twój muł jest słaby, to ty nie dostaniesz pieniędzy». Na takie dictum muł, który kochał swego pana, zdobywał się na «ostateczny wysiłek». Ale mulnik miał słabą pamięć, bo na drugi dzień cała historja się powtarzała.

* * *

Wrzący płyn parzył wargi i język, ale gasił pragnienie w przedziwny sposób. W gardle pozostawiał chłodzący dech mięty. Był smaczny, choć słodki, jak sam cukier. Miał jedną wadę: podawano go w zbyt małych dawkach. Trzy maleńkie szklaneczki nie mogły nas nigdy zadowolić.

Przy każdej sposobności — przed posiłkiem i po posiłku, na każdym postoju, rano, wieczór i w nocy pije się herbatę marokańską. Przyrządzanie



Fot. J. K. Dorawski

Herbata marokańska.

jej, to cały obrządek. Pozatem sztuka, którą nie każdy posiada. Sposób wyparzania naczyń, zasypywania zielonej herbaty, dodawania cukru, zanurzania świeżej mięty, przelewania tego wszystkiego z jednych naczyń do drugich odbywa się w pewnej niezmiennej kolejności. Ale od celebrującego szafarza zależy, by wszystkie te czynności spełnić skrupulatnie, elegancko i estetycznie.

Prawdziwym mistrzem był sierżant Belaid ben Ali. Z nabożeństwem i skupieniem przystępował do swej funkcji. Sprawiał ją poprostu artystycznie. Podziwiałem zawsze precyzję jego ruchów i finezję wykonania. Herbata przez niego podana, smakowała jeszcze lepiej.

* * *

Ostrzegano nas bardzo usilnie. Góry, widziane z Casablanki i Marrakeszu, roiły się od skorpjonów i wężów, które miały się wślizgiwać do namiotów i obierać jako najczęstsze miejsce schronienia... buty turystyczne. Wysłuchaliśmy mnóstwa dobrych rad i zaopatrzyliśmy się w zapas surowic leczniczych przeciw ukąszeniom. Wieczorami przed ułożeniem się do snu wytrząsaliśmy skrupulatnie śpiwory (niektórzy, bardziej pedantyczni, nicowali je przytem). Rano — zanim ktoś poważył się wdziać buty na nogi — stukał niemi o ziemię w nadziei, że wypadnie z wnętrza 10-centymetrowy skorpjon. Wszystko napróżno! Raz tylko znaleziono w głębi trzewika jakiegoś «gada», który po bliższem obejrzeniu został zakwalifikowany do rodziny karakonów. A jednak skorpjony nie były mitem! Znajdowaliśmy je pod kamieniami nawet w bezpośredniem sąsiedztwie obozu. Ale nie chciały mieć z nami nic do czynienia. Tak samo żmije — niewielkie, żółtawe — uciekały w popłochu przy niespodziewanem spotkaniu, co im zresztą niewiele pomagało. Padały stale ofiarą zawziętej nienawiści naszych ludzi.

Zato dały się nam we znaki inne plagi marokańskie. Niech tylko słońce zniknie za poszczerbione granie wierchów, zaczynają krążyć, bzykać, kłuć i pić krew — moskity. Maleńkie bestje przenikały przez oczka moskitjer, zakłócały spoczynek, spędzały sen z powiek. Nic nie pomagało smarowanie skóry różnemi maściami, rzekomo ochronnemi. Bąbli, małych i większych, piekielnie swędzących wciąż przybywało na ciele. Wrażliwsi pacjenci zrywali się z legowisk, uciekali z namiotu, biegali po nocy i... drapali się do krwi.

Wówczas wzdychało się do dnia i do słońca. Jego blask i ciepło przepędzały roje moskitów. Można było wrócić do namiotu. Na krótko, bo poprzez cienkie ściany zaczynało się szybko nagrzewać powietrze we wnętrzu. Już koło 9-tej rano świeca, niebacznie zapomniana, zamieniała się na małą kałużę stearyny. 52 stopni! 55 stopni! 57 stopni! Uciekać z namiotu — gdzieś w cieniu maliniaka lub drzewa — albo w wodzie potoku szukać ochłody!

* * *

Muły berberskie są kiepskie. Taka już rasa poślednia. W niczem nie mogłyby dorównać mułom Kordyljerów. Nie posiadają tej siły i wytrwałości, które pozwalają zwierzętom iść stałem, szybkiem tempem przez cały dzień. Co dziwniejsze, są bardzo mało odporne na upał. W godzinach południowych ledwie wlokły nogami i nawet kłucie ostro zakończonym patykiem w szyję nie mogło ich przynaglić do szybkiego biegu. Jeszcze gorzej działa na nie wysokość. Z wielką biedą, sapaniem i potykaniem się wyszły na Tizi n'Ochri — 3400 metrów. Nie umieją chodzić po terenie bezdrożnym. Tam, gdzie kończy się udeptana ścieżka, muł atlasowy traci odwagę. Zwierzęta te stanowczo nie mają fantazji.

A jednak! A jednak stałe wysiłki jeźdźców europejskich zdołały wykrzesać z tych zwierząt iskry głęboko ukrytego temperamentu. Na płaskich, dolinowych szlakach odbywały się formalne wyścigi. Nagrodą było prowadzenie karawany przez pewien czas — do następnych wyścigów. Pamiętamy wszyscy muła, który przejął się ambicją swego jeźdźca tak dalece, że nie dał się wyprzedzić nikomu, nawet wówczas, gdy już jeźdźcowi przestało zależeć na utrzymaniu przodownictwa. Zazdroszczono tego bydlaka «Chudemu Mojżeszowi».

Bo wyścigi na mułach berberskich nie były lekką rozrywką. Ileż energji trzeba było włożyć na okładanie wierzchowca kijem, na tłuczenie go po bokach piętami, na podniecanie go piskliwym «irrá, irrá»! I na walkę z siodłem. Berberskiem siodłem bez popręgu, wpadającem na szyję muła, zsuwającem się na jego zad, przechylającem się na boki. Nic dziwnego, że mnożyły się upadki. Założono «klub spadaczy», chełpiących się jakością swych wyczynów. Prezesem miał być ten, który najwięcej upadków miał na swem koncie. Tak się jakoś złożyło, że nie trzeba było Jurkowi nawet doliczać alpejskich. Wystarczyły mu do stałej prezesury upadki z muła berberskiego.

*

* *

Na stromym stoku doliny wyrównali pasterze dość obszerną platformę. Otoczyli ją murkiem z głazów, misternie zbudowanym. Z jednej strony zasłania ją od wiatru potężny blok — ogromna wanta. Pod wantą mała koleba — tyle, by kuchnię urządzić lub schować zapasy. To «azib».

W grupie Tubkala stały obozy nasze zawsze w azibach. Białe namioty z konieczności blisko siebie rozpięte. Sznury, napinające ściany, tworzyły dziwną siatkę, która przyprawiała o rozpacz nocnych spacerowiczów. Pamiętając o sznurach swego namiotu, napewno wysypałeś się na sznurach sąsiadów. I to jeszcze lepsza ewentualność, bo jeśliś zerwał sznur, czekała cię ładna bura od poszkodowanych.



Fot. J. K. Dorawski

Obóz wyprawy w Ait Attik. (Przed namiotem siedzą J. Golcz i J. K. Dorawski, z namiotu wychyla się J. A. Szczepański).

Obozy były wysokie. W nocy ogarniał je chłód — w dzień paliło niemiłosiernie słońce. Wichry szarpały płótnem, wydymały namiot, jak balon,

chcący ulecieć. Namiot wytrzymywał stały napór wiatru dość dobrze. Najgorsze były nagłe podmuchy — bambusy podpór głównych łamały się niespodziewanie. Co jeden moment zepsuł, trzeba było naprawiać godzinami.

Na terenie M'Gunu scenerja obozowa zmieniła się radykalnie. Obciążeni wielką karawaną, obozowaliśmy w pobliżu wsi. Znajdowaliśmy się jeszcze w zasięgu drzewostanu. Ściana namiotu opierała się o potężny pień drzewa. Obóz pokrywały rozłożyste konary orzechów. Gałęzie dawały mu cień, błogosławiony w dzienną spiekotę. Gałęzie strącały nań ze swych liści groźną plagę — dokuczliwe owady, przeklinane w nocy.

Gdziekolwiek stał nasz obóz, czuliśmy zawsze wyraźnie, że jest domem naszym na obczyźnie. Kiedy przyjmowaliśmy w nim sziurów, kiedy wracaliśmy po nocy do namiotów, świecących, jak latarnie, kiedy wieczorami gromadziliśmy się w namiocie «flagowym» na długie pogawędki w ciasnocie nóg, śpiworów, garnuszków z herbatą i latarek.

*

* *

JAN K. DORAWSKI

Z DNI GÓRSKICH

1.

Wysuwam termometr poza namiot. Śnieg gęsty, widoczność żadna. Górą śnieg, dołem woda. Mulnicy okopują namioty, jakbyśmy mieli walczyć z tropikalną, śnieżną powodzią.

Ostrożnie wysuwam termometr. A później odczytuję: 3°. Ładna wiosna!

Po wspinaczce i marszu, odpoczynek w obozie. Słońce.

Idziemy się ochłodzić w szumie Ait Mizan, i osuszyć w uprzejmym szeleście zalotnego wiatru.

Wieczorem ten i ów narzeka na ból głowy, mierzy gorączkę, choruje. Skóra na plecach i ramionach pierwsza pada ofiarą.

To słońce już nie pali, ale wrze. To jest słońce cięższe od gorąca, wisi nisko nad głowami i trzeba się przed niem ukrywać. Zato ziemię, bezbronną, dawno już spaliło i wysuszyło na kość. Słońce jest w Europie wysoką, niematerjalną rozkoszą; tu się upał odczuwa bezpośrednio, jak deszcz lub śnieg.

Woda w manierkach omarza, gdy biwak jest wpobliżu szczytu. Dla mnie chłodna noc górska jest nagłem przypomnieniem Tatr. I góry w łańcuchu śniegów, i żleby napełnione białym lodem, są nocami inne, polskie. Aż powraca dzień, i słońce, które się odczuwa.

Tak przepełnia się lato posuchą i upałem. W dzień przybycia do Nzala Argana odczytujemy 48° w cieniu. Powietrze przestaje być powietrzem, i oddech męczy, jak praca fizyczna. Jesteśmy pogrążeni w jakiejś ciężkiej i lepkiej masie, z której niema ucieczki. Położyć się i zasnąć. Ale nie można nawet spać.

Na szczycie Tinergetu słońce świeci jak tatrzańskie upalne południe. Mogę więc zwinąć ubranie i pójść nago przez przestrzeń, przepojoną blaskiem i ruchem. Od oceanu płynie czysty, górski wiatr, zarówno ciepły i chłodny. Samotnym, szerokim grzbietem idę, nago, na wysoki wierch bez nazwy. Wiatr śpiewa czysto i melancholijnie w głazach na grani. Porównywam go z rykiem żywiołu na przełęczach pod Agernddrarem, gdy w furji spychał muły ze ścieżki i z nóg je zwalał, i ze zdziwieniem porównywam go ze zjadliwym kurzem wietrznym z południa, flegmą piasku plującym oddechem Sahary.

W przejrzystem powietrzu nocy szczyty w promieniu Ras Mulej Ali znowu zabarwiają się Tatrami. Ale czy siny pas oceanu o zachodzie można porównać z tatrzańską otoką zmroku? Gdy wstaje dzień, słońce jest znowu rozgrzane jak huta, i tylko dostosowaniu i zahartowaniu zawdzięczam, że mogę znowu nago schodzić żlebem, szarym oceanem piargów jak w górnej Niewcyrce.

2.

Mechanik wyprawy pomaga, uważa widać ten zabieg za związany z jego specjalnością. Siedemdziesiąt igieł — twierdzę — tkwi mi w prawej dłoni, którą nieostrożnie oparłem o dźwięczne nazwą, lecz kłujące treścią ifsky. Siedemdziesiąt igieł trzeba się starać wydobyć z zaczerwienionej skóry.

Towarzyszą nam wszędzie w Atlasie te suche, kolczaste poduszki, które poczęły kwitnąć, gdyśmy przybyli pod Tubkal, a wyglądały jak zakurzone, muzealne jeżowce, gdyśmy odjeżdżali spod Ras Mulej Ali. Jałowa, brunatna ziemia, i z niej kolce: kolce circium, kolce opuncyj, kolce tamaryszków. Wysmażone na słońcu, kłują. (Słońce właściwie też smaży i kłuje).

Na górze jest skała i śnieg. Tu wreszcie znikają afryki, i trawa jest rzetelną trawą, na której można usiąść. Wpośrodku ściany Ras Mulej Ali czepiają się skał nawet kępki psiej trawki, o której obserwację proszono nas w Polsce. Ale przecież niema znaczenia psia trawka, do której nawet muflony nie dotrą?

Nigdy jednak nie zapomnę przełomu Seksaua, podróży wśród bukietów, wysokich jak las, i gęstych jak kosodrzewina. Raz jeden ukazała nam wówczas przyroda Atlasu sens pojęcia tropikalnej wegetacji. U stóp skał, spieczonych słońcem i naznaczonych na każdym chwycie i stopniu gigantyczną szarotką Atlasu: dziobatym, pokrzywionym kaktusem, — u stóp potrzaskanych skał nad mleczną, lekką wodą, płynącą w czystym cieniu, wysokie, zielone krzewy alili, ginące wśród pełnych kwiatów, różowych i różanych, były jak flory z wierszy Pawlikowskiej. Schodziły się nad wodą i schylały ku sobie brunatne i ciemno-zielone ramiona, obejmowały się i stłaczały w jeden gąszcz różaneczny na dnie wężowego wąwozu. A my, związani spojrzeniem, ginęliśmy wśród skał i nieznużonych skrętów parowu, wśród kwiatów i zieleni sklepionych nad nami w żywy, falujący tunel. Otaczała nas samotność i cisza liści w wietrze, nad brzegiem uciekającego strumienia. Nikt z nas nie przemówił ani słowa.

3.

Po dniu tak upalnym, iż niebo patrzało jak spoza gęstej pajęczyny, gorąca noc wydawała się chłodna i pełna życia. W ciemnościach muły czekały milczące.

Przez noc i ciemną osadę pojechaliśmy na spotkanie dnia i gór. Ziemia była czerwona i geologiczna. Góry ponad nią wydawały się zdaleka wyższe, niż niebo.

O świcie grób marabuta wdzięczył się wśród rododendronów, jak biała altana we francuskim parku. Marabut nazywał się Sidi Ali u Ahmed i żył sobie wygodnie w świętości, póki nie umarł. Teraz słynie cudami i błogosławi pobliski suk. Przez park na targ, nadaremnie szukamy w nas samych poczucia pustki i oddalenia.

Słońce owinęło nas chmurą much. Jak codzień, jak zawsze. Ale ruch płoszył je od nas. Okrywały tylko gęstym rojem nieszczęsne muły.

Po dniu oczekuje nas jednak nieuchronna noc, a gdy czarnem rojowiskiem posną już muchy w namiotach, wówczas komar przenika jak przeznaczenie przez moskitjerę i bierze się do swego krwiożerczego dzieła.

Dla Jerzego, mrówki, moskity, muchy, skorpjony, pająki i tym podobne — to wszystko razem *robactwo*. Umykał przed niem z miast do wsi berberskich, z dolin do namiotów, i z obozów na szczyty. Nic nie pomagało, wszędzie doścignął go wróg bezlitosny. Jakiś robak samotny, robak-rekordzista, prześladował go nawet na M'Gunie 2. Jerzy padł pierwszy ofiarą, ale wkrótce już wszyscy chodziliśmy pokąsani, opuchli, pocięci i wymięci.

Nocleg w osiedlu Afensu, to był ponury koszmar. Szkoda, że tam już Jerzego nie było.

Pomimo tego, zbrodniczy spacer tarantuli po uśpionym wędrowcu przeżyliśmy tylko w Demnat, w sugestywnych opowiadaniach na wety. Nawet z perspektywy Demnatu, jadowite skorpjony i mrówki skrzydlate miały bowiem posmak (jeśli się tak można wyrazić) przygód walecznego Tartarina.

Ale białe plamki po ukąszeniach na opalonej skórze nie ustąpiły nawet po pół roku w popowodziowej Polsce. Plamka przy plamce — białe centki na śniadej skórze, paszportowa pieczątka egzotyzmu.

4.

Przez północną ścianę Inchemara rwą trzy muflony. Zachwycamy się ich widokiem: Kiełpiński i ja. Tylko my dwaj mamy szczęście spotkać strwożone resztki tych kozic Atlasu. Są grube i wielkie, jak cielaki, o, takie...

— Powiedz lepiej, że większe niż słoń — chcą ze mnie towarzysze zrobić swojskiego Tartarina.

Ale prawda zwycięża, jak mówi kazanie. Oswojony muflon w Asni ma wielkość małego osła.

Kłusownicy wytępili te muflony, których tu pewnie było dawniej tysiące. W całym Masywie Wschodnim, najludniejszym, nie spotkałem już ani jednego muflona, w Masywie Zachodnim zobaczyłem tylko jednego samotnika, pod Przełęczą Tażelt. Krążył ostrożnie i zdaleka wokół mizernych, samopas puszczonych kóz, i widać było, że chce wśród nich szukać towarzyszki.

...Dnem wyschniętego, szerokiego Ued el Halu schodziłem ku obozowi, w cieniu orzechów rozłożystych jak dęby. Była ciepła, wygrzana, zmysłowa cisza. Szedłem jeszcze nago, słońce świeciło ukośnie.

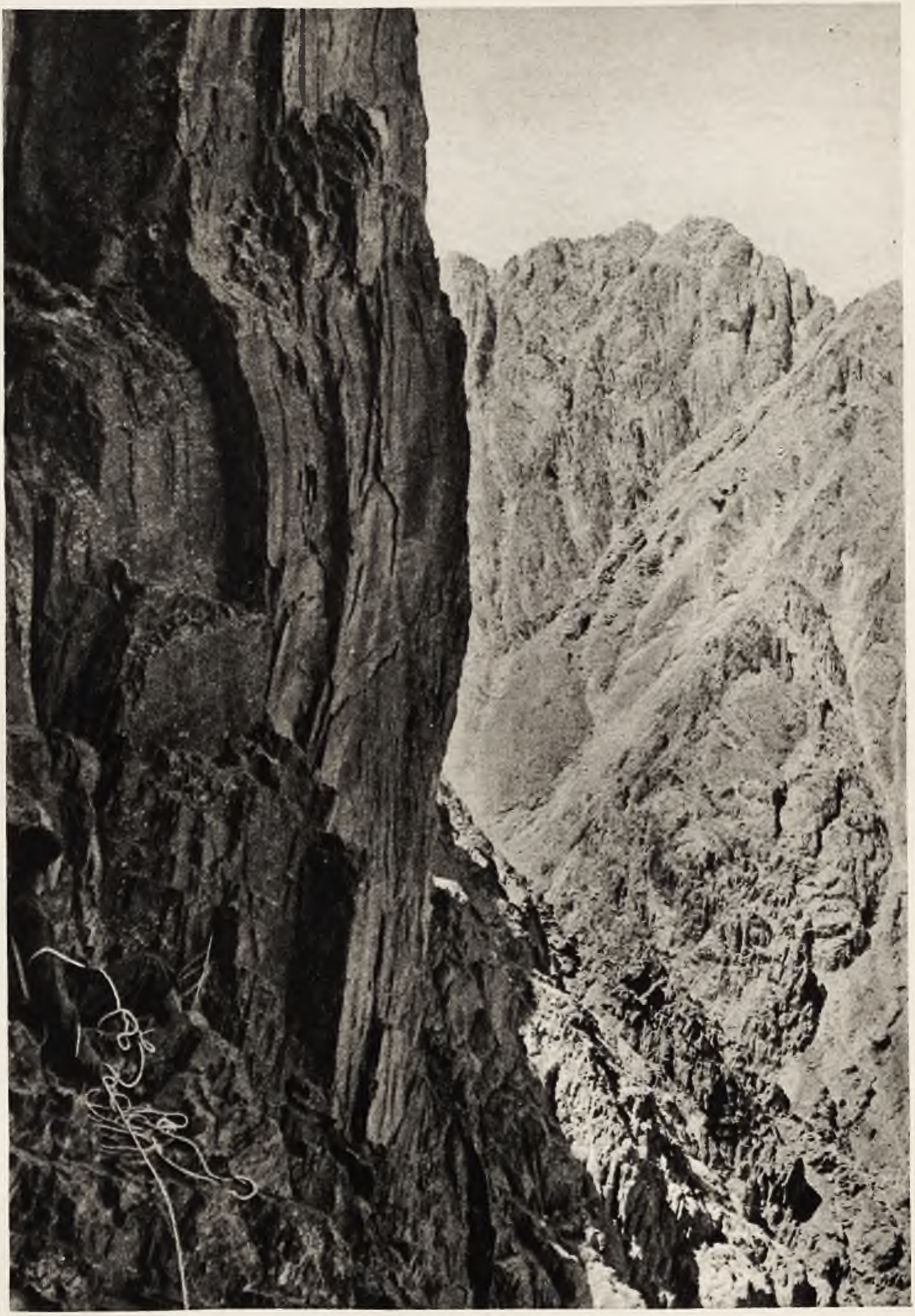
Ciemny, wężowy, żywy patyk spłoszył się spod nóg. Przez chwilę uniósł się nad suchy muł i znieruchomiał. I tak spojrzeliśmy na siebie: żmija i mój czekan (który pozostawiłem w obozie).

Ze zwinnym szelestem żmija zapadła pod głaz. Poszedłem dalej. Obóz był już niedaleko. Gdy mi w Ait Mallal spod kopyt muła wywinęła się taka sama uciekająca żmija, dopadli ją mulnicy, i kamieniami, czekanem! Szybko przy ścieżce legła martwa, szklista i bezkształtna masa.

5.

Nowy francuski most przerzuca samochodową drogę ponad żółtą i leniwą, barwy Wisły pod Warszawą, Ued Tessaut. Nie zawodzi jej nazwa — Rzeka Pragnienia — płynie przez kraj wysuszony i umarły, przez śnięty step toczy swe gęste i ciepłe wody, zebrane z gór. Jest brzydka i mijamy ją skwapliwie.

Ale tam wyżej w górach znów krzyżuje się z nią nasza droga. Jest teraz barwy oliwki ta obfita w wodę, bystra rzeka górska, płynąca doliną o równem i płaskiem dnie, wśród wielkich i bronzowych gór na krawędziach. Krajobraz jest zupełnie jak z powieści Karola Maya. Brakuje chyba tylko Halefa Omara i zasadzki zaczajonej ponad tym wezbranym parowem.



NA PÓŁNOCNEJ ŚCIANIE ARS-ZEIMU

Fot. J. K. Dorawski

Gdy jednak wyżej wody Tessaut przybierają odcień liljowy i płyną w białem, kamienistem łożysku — mówię o tej rzece, że jest piękna jak Rodan pod Genewą. A jest jeszcze piękniejsza, gdyż znaczy zarazem granicę białej plamy na mapie.

Gorski, mechanik, przyrządza sobie wędkę i łowi tłuste pstrągi. Łakoma odmiana menu.

Ponad Ait Attik dorzecze Tessaut gubi się w skomplikowanym układzie kenjonów i grzbietów M'Gunu. Zewsząd spieszą strumienie górskie, aby wzmocnić Rzekę Pragnienia przed jej mozolną wędrówką po wysuszonym, nizinnym ugorze. Spieszą się, skacząc dziesiątki metrów przez przewieszki parowów Arusu. Po drodze przystają na łące o wonnych kwiatach. Łąka lśni w słońcu jak tęcza. «Hala Ichys — cud natury» (tak piszą gazety). Pachnąca, polska połonina pod słońcem jednotonnem jak step.



Fot. J. K. Dorawski

Nad górną Tessaut.

Na hali najwyższej są źródła, dziesiątki mszystych wykapów, z których powstanie rzeka. Te nieznane źródła odkrywamy ze szczytu, na który wchodzimy pierwsi. Teraz rozumiem, czemu nas antyczny autobus arabski przewiózł po moście pod Demnat.

6.

Z żałością przyglądam się na wierzchołku Ras Mulej Ali obolałym stopom towarzysza, przekreślającym nadzieję na dodatkową wspinaczkę. A przecież wznoszą się tu opodal dziewicze szczyty, które powinniśmy jeszcze wziąć.

To są góry obce i nieznane. Tu się jeszcze warto wysilać do ostatka. Zawsze w górach dalekich powracają wrażenia, które mię wiodły na pierwsze problemy tatrzańskie. Te najpiękniejsze, niezużyte wrażenia, gdy szczyt o polskiej nazwie mógł być jeszcze celem ostatecznym.

Ale buty towarzysza leżą o 900 metrów niżej, u stóp szczytu o nazwie arabskiej. A trzewiczki jego zdarły się na strzępy w trudnej, przewodniej wspinaczce, wiążemy je sznurkami i owijamy w gazety. Rychło bose stopy kaleczą się jednak spowrotem o przykry piarg, i trzeba powracać jaknajszybciej i jaknajkrótszą drogą.

Żegnamy Atlas w przełomie Seksaua, w cieniu chłodnej, przejrzystej jesieni, wróżącej przedwczesne śniegi. Od wiosny do jesieni. Obce góry przestały być obce. Szkoda, że nie przykrył ich już teraz świeży śnieg, dzień powitania i pożegnania.

Kwiaty alili więdną. Z pokładu statku oddala się Marokko. Ale czarny zeszyt kronikarza pełen jest słów i treści.

Ważny spór: czy chodzi o tę treść, czy o wrażenia?

7.

Za morzem leżą góry, które znam.

JAN A. SZCZEPAŃSKI

WYSOKI ATLAS

TEREN

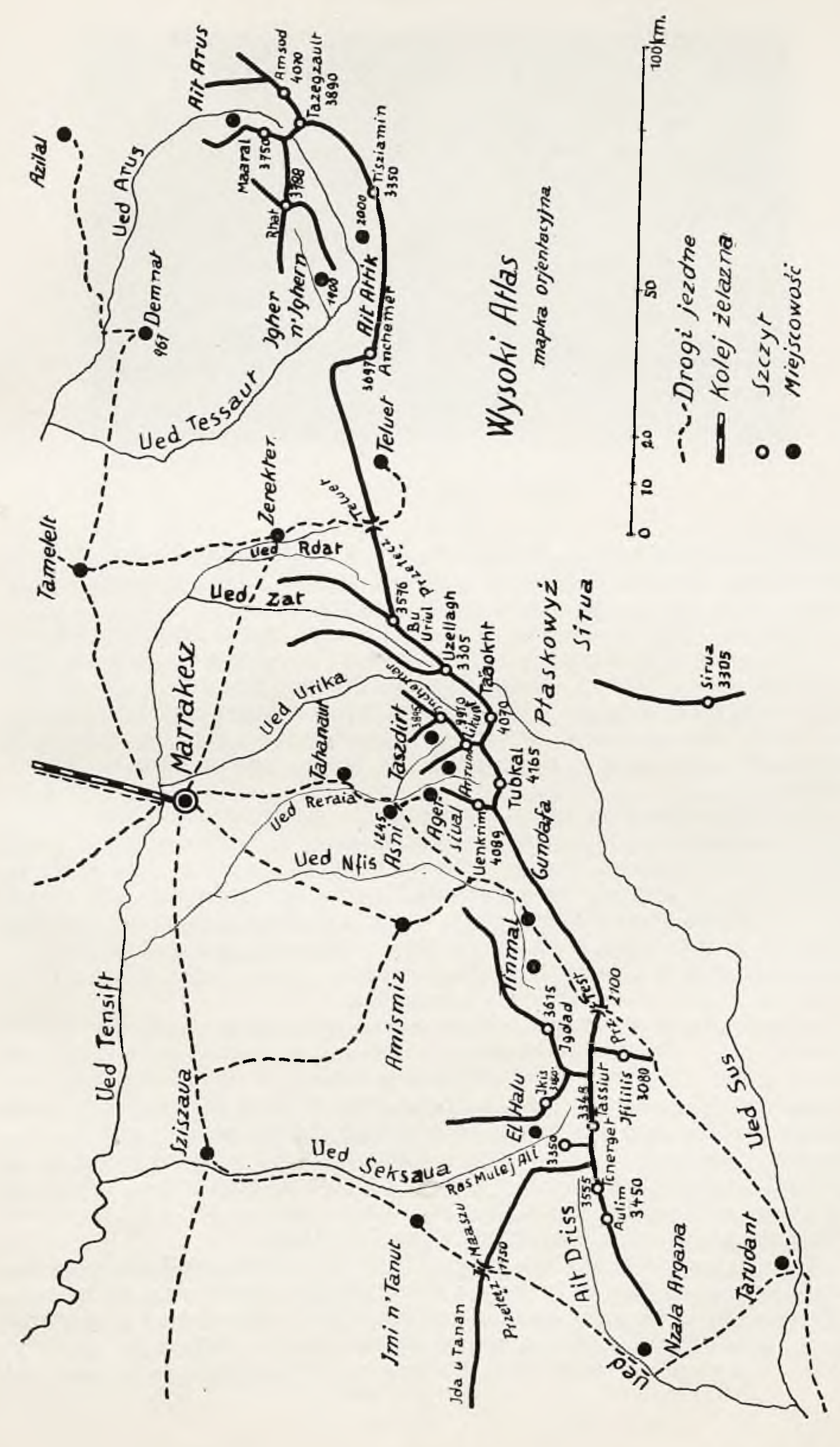
Sytuację geograficzną Wysokiego Atlasu — najwyższego łańcucha gór Afryki Północnej — omówił zupełnie wystarczająco «Taternik», XVIII, 123—126. Trzy główne pasma występują w tych górach: Masyw Zachodni od Przełęczy Maaszu (ok. 1650 m), przez którą przechodzi droga jezdna z Marrakesz przez Szizaua i Imi n'Tanut do Nzala Argana i Agadiru, po Przełęcz Test (ok. 2100 m), którą przekracza droga jezdna z Marrakesz przez Asni i Talaat n'Yakub do Tarudantu i Agadiru; Masyw Środkowy od Przełęczy Test po Przełęcz Teluet (ok. 2000 m), którą przebywa droga jezdna z Marrakesz do Uarzazat; i wreszcie Masyw Wschodni, sięgający aż ku granicy Algieru.

Są to wszystko góry stare, zrujnowane, w znacznej części o zaokrąglonych już formach. Nie szukać tu zatem alpinistycznej smukłości iglic i turni! Szczyty mają naogół wygląd potężnych kopuł i wulkanów, dotyczy ta uwaga wszystkich trzech masywów.

Usiłując dać charakterystykę tutejszej krainy górskiej, musimy przedewszystkiem podkreślić jeden moment: są to góry, jedne z najsilniej zaludnionych na świecie. Jadąc z Marrakeszu ku Atlasowi mijamy wielkie przestrzenie stepowo-pustynne, pozbawione wegetacji a temsamem i stałego osadnictwa. Aż nagle u brzegu gór wyrastają wsie i miasteczka, i w którąkolwiek następnie wejdziemy dolinę, co kilka km natkniemy się na nowe osiedle. Ten pozorny paradoks tłumaczy się bardzo prosto warunkami hydrograficznemi. Podczas gdy równina jest sucha i bezwodna, wsie we wnętrzu gór żywią potoki górskie, które zasila topniejący śnieg. W setkach kanałów rozprowadza się następnie tę drogocenną wodę po zboczach dolin, nawadniając skąpe poletka zboża i kultur (uprawia się niemal wyłącznie jęczmień). Wsie sięgają średnio do 2000 m wys., wyjątkowo wyżej (Taszdirt, ok. 2300 m). Łączą je wąskie, naogół zaniedbane ścieżki i przejścia mułowe, przekraczające nieraz grzbiety boczne, a wspinające się czasem nawet na grzbiet główny. Wsie te zamieszkuje szczep berberski Szleuh, zmieszany w niektórych, najłatwiej z Marrakeszu dostępnych okolicach, cokolwiek z Arabami, zresztą rasowo czysty. Szleuhowie wyznają (dość powierzchownie!) religję mahometańską, przejąwszy naogół obyczaje arabskie, za wyjątkiem haremowego zamknięcia kobiet. Jest to lud wojowniczy i gościnny, o żywych tradycjach feudalnych, naogół dość pracowity (jak wszędzie w Afryce, główny ciężar pracy fizycznej spada zresztą na kobiety). Wydaje się jednak, że i w pracowitości i przedsiębiorczości Szleuhów zachodzą dość znaczne różnice zależnie od plemienia: tak więc gdy plemiona M'Gun, Ftuaka, Seksaua i t. p. we Wschodnim i Zachodnim Masywie mieszkają po wsiach ludnych, zasobnych i względnie zamożnych, plemiona Reraia i Gundafa Masywu Środkowego już na pierwszy rzut oka wydają się znacznie uboższe: domy w ich wsiach są to nędzne rudery, spośród których niewiele wyróżnia się kazba sziura, będąca natomiast u sąsiadów wzbudzającą respekt, wielką kamienną budowlą.

Doliny Wysokiego Atlasu są naogół otwarte i łatwo dostępne, wsie Szleuhów tworzą wśród nich malownicze oazy zieloności. Nigdzie niema lasów ani jezior (za wyjątkiem zielonego Jez. Ifni na pd. od Tubkalu), tylko po wsiach rosną pojedyncze, ogromne i nadzwyczaj rozłożyste orzechy. Roślinność jest bardzo skąpa, trawniki spotyka się wyjątkowo. Krajobraz urozmaicają oliwki (do wys. 1800 m) i orzechy (do wys. 2300 m), a dalej ogromne łany opuncyj wgórze i różanecznika wdole. Aż ku szczytom sięgają, liljowo (w czerwcu i lipcu) kwitnące suchorosty, nazywane przez tubylców ifsky *(Circium chryzacantum)*.

Ubogiej florze odpowiada równie uboga fauna, wielkich ptaków drapieżnych niemal się nie spotyka, muflony (barany górskie) wytępiono niemal doszczętnie.



UWAGA: Skutkiem omyłki rysownika przestawiono napisy Aulim i Tinerget.



Fot. J. Kiełpiński

Kazba w Igher n'Igherm.

W dolinach jest trochę żmij i skorpionów, ale nie stanowią one poważnego niebezpieczeństwa. Prawdziwą plagą są natomiast mrówki i roje much, szczególnie zaś komary, roznosiciele paludyzmu (malarja marokańska).

Doliny są raczej monotonne, nierzadko tworzą jednak głębokie kenjony, a wówczas mogą rywalizować z najsławniejszemi z piękności wąwozami. Taki np. przełom potoku Seksaua (20 km dług.) mógłby być wszędzie pierwszorzędną atrakcją turystyczną. Kenjony takie — przez Szleuhów nazywane kheneg — stanowią jednak zazwyczaj ciężką przeszkodę komunikacyjną, gdyż są z reglv trudno dostępne lub nawet wogóle niedostępne (np. kenjon potoku Arus w Masywie Wschodnim).

Piarżystemi zboczami można z dolin wejść nierzadko aż na same wierzcholki. Gdzieniegdzie tylko ponad piargami wznoszą się skaliste granie i ściany. Tak np. w całym Masywie Wschodnim ponad zerwami kenjonów wznoszą się zaokrąglone wierchy, dostępne bez wspinaczki. Nawet alpinistyczny (por. «Taternika», XVIII, 126) Dżebel Maarał okazał się w istocie zniszczoną górą, łatwo dostępną. A obejrzana w 1932 r. jego wsch. strona, która miała nastręczyć wspinaczki o charakterze dolomitowym *(l. c.)* byla w rzeczywistości — nieco trudna. Masyw Wschodni ma więc w całości charakter gór narciarskich.

Ściany i granie w Reraia i Seksaua są naogół niewysokie, przyczem najwyższe okazały się w Masywie Zachodnim, gdzie doliny są stosunkowo najniżej położone. Tutaj też szczyt Ras Mulej Ali posiada ścianę 900 m wysoką, najwyższą w Atlasie. Ściany są nieraz urwiste i b. trudne. Nie jest ich jednak szczególnie dużo i właściwie po polskiej eksploracji pozostało ich jeszcze niezdobytych zaledwie kilkanaście. Amcharas n'Igliua, Likumt i Tinerget przedstawiały najwięcej interesujące pod względem sportowym problemy. Z zadań alpinistycznych, które pozostały jeszcze w Wysokim Atlasie do wykonania, na czoło wybija się niewątliwie przejście urwistą granią z Ras Mulej Ali na Temtdadem.

Skały są naogół kruche, ale suche. Oblodzenie spotyka się latem tylko wyjątkowo. Wyprawa polska zetknęła się z niem tylko raz jeden (na pn.-wsch. ścianie Amcharas n'Igliua). Śniegu w czerwcu jest jeszcze dużo, niemal tyle co analogiczną porą w Tatrach. Znika jednak szybko, w sierpniu na wys. 3500 m już go się nie spotyka. Pojedyńcze, niewielkie płaty śniegu utrzymują się pomimo to przez cały rok.



Fot. J. Kiełpiński

Taszdirt, najwyższa wieś Atlasu.

Niegdyś, nietylko pokrywał Wysoki Atlas wieczny śnieg, ale występowały również lodowce. Skąpe opady położyły im kres. Dziś góry te otrzymują opady niemal wyłącznie w zimie, przyczem powyżej 3000 m z reguły w formie śniegu, schodzącego aż w głąb dolin, średnio do 1500 m wys. (wyjątkowo niżej). Śnieg ten jest główną rezerwą wodną. W lecie pada deszcz, powyżej 3500 m przechodzący zazwyczaj w śnieg. Okres niepogody trwa jednak zawsze krótko.

Stałą cechą omawianych gór są natomiast potężne wichry, wiejące od pd. Wichry te osiągają szybkość 50 m/sek., a zatem już nasilenie huraganu. Dni pozbawionych wiatru jest średnio połowa w roku.

Inną trudnością klimatyczną jest insolacja. Suchość powietrza pozwala dobrze znosić temperatury lata w Atlasie, zresztą w górach nie są one nigdy zbyt wysokie (w południe zapisywałem ok. 25°). W słońcu dosięga jednak temperatura 60° i wyżej. Kwestję odporności rozwiązuje tu aklimatyzacja. Zbyt forsowne i szybkie przejście z równin na szczyty omal w 1932 r. życiem nie przypłacili na Tubkalu Kröner i tow. Wyprawa polska natomiast ucierpiała od słońca stosunkowo niewiele. Noce są zawsze chłodne, w okolicy 4000 m panują stale przymrozki. W końcu czerwca na wys. niespełna 3500 m mieli polscy alpiniści temperaturę w czasie nocnego biwaku poniżej zera, natomiast z początkiem sierpnia na wys. ponad 3000 m już 11° ciepła.

DZIEJE ALPINISTYCZNE

Wspaniałe i imponujące, choć nie wolne od błędów, dzieło Waltera Schmidkunza «Alpine Geschichte in Einzeldaten» — wcielone do encyklopedycznego «Alpines Handbuch» — po raz pierwszy notuje pozycję Wysokiego Atlasu pod 1789 r.: «Anglik Lemprière przekracza Wysoki Atlas w podróży z Tarudantu do Marokka». Ale to jest prehistorja tych gór, którą możemy tak samo pominąć jak dzieje pierwszych ekspedycyj angielskich (z lat 1871 i 1888), którym nie udało się jeszcze dotrzeć do głównego łańcucha (por. «Taternika», XVIII, 126). Podobnie bez większego znaczenia minęły podróże A. Brivesa i L. Gentila, oraz małżeństwa G. Jacqueton, podejmowane w latach 1901—1908, częściowo w tow. markiza de Segonzac. Miały one raczej charakter turystyczny i naukowy, i ograniczały się do przebycia najłatwiej dostępnych przełęczy.

Dopiero od 1922 r. rozpoczyna się regularna ofensywa wysokogórska, narazie ograniczona do Wielkiego Atlasu Marrakeszu. W dniu 5 kwietnia 1922 r. atakuje H. de Segonzac i towarzysze Dżebel Agelzim od strony Arrundu; próba załamuje się na wys. ok. 3600 m. Niepowodzeniem kończy się również próba wejścia na Tubkal. Już jednak w lecie t. r. H. Dolbeau, O. Dorée, H. de Segonzac i H. Ungemach wchodzą na Tifnut-Taraokht (4070 m), a w dniu 12 czerwca 1923 r. Dolbeau, de Segonzac oraz V. Berger na Tubkal (zwykłą drogą od pn.-zach.). Od 1924 r. rozpoczynają systematyczne wędrówki w tym terenie alpiniści Balaÿ, Champeaux, Montagne i de Prandières. Zwiedzają oni Amcharas n'Igliua, oraz dokonują II. w. na Tubkal, schodząc zeń po raz pierwszy w Dol. Ifni. Ponadto Jacques Balaÿ zwiedza samotnie Agudel n'Mzier, Uenkrim Południowy i Dżebel Anhur (3614 m).

Dnia 19 czerwca 1924 r. Maurice de Prandières zdobywa Dżebel Inchemar. Tegoż roku, w lipcu, przybywa do Atlasu po raz pierwszy Jacques de Lepiney, aby podjąć w tych górach dłuższą i systematyczną działalność. Rozpoczyna od pokonania (w zejściu; wraz z de Prandières) pn. ściany Dżebel Anhur; w grudniu 1925 r. dodaje do tego sukcesu I. w. zim. na Inchemara.

W maju 1926 r. wchodzi Regnault Sarrasin na Dżebel Likumt i przechodzi stąd granią przez Dżebel Taszdirt na Inchemara; dokonywa również III. w. na Tubkal. W tym samym czasie C. Boller i M. de Prandières zdobywają pn. ścianę Inchemara Zachodniego, dwa miesiące później ginie tutaj Mercier Riondel. Na lata 1927—1928 przypada teraz okres świetnych i przedewszystkiem alpinistycznych wypraw Louis Neltnera, Jacques de Lepineya i André Stofera. Najcelniejsze ich zdobycze (I. prz. grani Uenkrimów, I. prz. grani Aksualu i IV. w. na Tubkal, a I. jego pd.-wsch. granią) wymienia już «Taternik», XVIII, 127. W dniu 24 czerwca 1927 r. dokonali oni pozatem (Lepiney i Stofer) I. prz. ściśle granią z Likumtu na Inchemar, dnia 30 grudnia t. r. I. prz. grani Turni Aksual i II. na Aksual, i wreszcie dnia 22 czerwca 1928 r. I. w. na Szczyt Wielkiego Potoku. W tym samym czasie Montagne zwiedza Dżebel Ifililis (3080 m) i Dżebel Melsen (3588 m), oraz dokonywa II. w. na Dżebel bu Uriul (3576 m). Wreszcie Neltner wchodzi na Ras Timesgida (3838 m), poczem dwukrotnie — w kwietniu 1927 r. i w czerwcu 1928 r. — dociera też do Masywu Zachodniego, gdzie w pierwszej wyprawie dokonywa wejść na Aulim i Tinerget, a w drugiej na Ras Mulej Ali i na Aulim od Tizi n'Umassa. Aby odrazu skończyć z historją zwiedzania tego łańcucha, dodajmy już tutaj, że w Masywie Zachodnim działał jeszcze tylko prof. Dresch z Rabat, który w 1933 r. dokonał I. prz. jego grani głównej (m. i. I. w. na Dżebel Temtdadem 3340 m i Dżebel Tassiut 3348 m) i opracował teren kartograficznie.

W Masywie Centralnym po zdobyciu głównych szczytów i najpiękniejszych grani zainteresowanie alpinistyczne Francuzów osłabło, zaczął się natomiast okres obcych ekspedycyj, który zresztą już w 1926 r. otwarł wypad Amerykanina Alberta Rand Herrona.

W kwietniu 1926 r. wchodzi Herron na Likumt (III. w.), poczem usiłuje wejść na Tubkal przez pn.-zach. grań Imus-zera. Dociera tylko do Tikint n'Uanas. Nazajutrz jednak zdobywa Aferrui przez Tizi n'Imus-zer. W tym samym czasie (dnia 9 kwietnia) wchodzą Szwajcarzy M. Blumenthal, dr. D. Dutoit, M. Roch i małżeństwo Staub na Dżebel bu Uriul.

W kwietniu 1929 r. przybywają do centralnej części Atlasu Szwajcarzy Hermann Bossard, Walter Hauser i Henri Rebsamen. Dnia 11 t. m. uzyskują oni IV. w. na Likumt, a dnia 13 t. m. V. w. na Tubkal. W maju i czerwcu t. r. działają A. i G. P. Bakerowie i B. Beetham. Ale tylko Beetham wchodzi na szczyty: VI. w. na Tubkal, III. w. na Uenkrim Południowy, Agudel n'Mzier i Amcharas n'Igliua, II. w. na Uenkrim Północny i zapewne dopiero I. w. na Assif n'Timellilt i Dżebel Agelsim. W sierpniu 1932 r. pracuje tu botaniczna wyprawa Brecht-Bergena, która dnia 12 t. m. staje jako VIII partja na szczycie Tubkalu (VII. w. podejmują topo-

grafowie francuscy dnia 8 sierpnia 1931 r., budując wówczas na wierzchołku piramidę triangulacyjną). W tym samym czasie Włosi Miro Botteri, Mario Dugan i dr. Andrea de Pollitzer-Pollenghi przechodzą duży szmat głównej grani: dnia 11 sierpnia 1932 r. I. w. na Dżebel bu Uszab i część Turni Uanums, nazajutrz IX. w. na Tubkal, dnia 13 sierpnia II. w. na Aferrui i I. w. na Aguidad oraz Dżebel Tiszki, wreszcie dnia 15 sierpnia II. prz. grani Aksualu i V. w. na Likumt. Wreszcie w zimie 1932/33 r. działa w Masywie Wschodnim Węgier Gyula Posselt, który wchodzi na Dżebel Tidili (3576 m) i Dżebel Anremak (3194 m), mając w całym tym obszarze za jedynych poprzedników kartografów francuskich, budowniczych kopców szczytowych na Amsodzie i (zapewne) Rhacie (I. w. na Amsod: kpt. Goevaers i tow., w lecie 1931 r.; II. w. na Amsod: J. de Lepiney i tow., w lecie 1932 r.).

W zakończeniu, osobno, chcę wreszcie wyodrębnić i omówić wyprawę Niemców z Monachjum, Andrzeja Heckmaira, Gustawa Krönera i braci Arweda i Fedora Möhnów nietylko dlatego, że przed 1934 r. osiągnęła ona w Atlasie najlepsze wyniki alpinistyczne, ale przedewszystkiem dlatego, że, podobnie jak polska wyprawa, te właśnie ściśle alpinistyczne cele miała na oku. Była ona już przytem w «Taterniku» parokrotnie omawiana, a zawsze błędnie, zresztą z winy samych uczestników tej wyprawy, którzy niedostatecznie obznajomieni z toponymją i topografją Atlasu, podawali wiadomości nadzwyczaj mylne, bałamutne i nawet sprzeczne z sobą. Dopiero autopsja i specjalne badania w terenie pozwoliły mi wyjaśnić i ustalić prawdziwy przebieg ich działań.

W głębi gór bawili alpiniści niemieccy wszystkiego 8 dni (od 23 sierpnia do 1 września 1932 r.), przez cały czas mając bazę operacyjną w schronisku Arrund. Na dłuższy pobyt brakowało im pieniędzy, niedarmo osiągnęli przecież swą awanturniczą wyprawą (p. «Taternik», XVII, 86) rekord taniości wypraw egzotycznych (ale też jak heroicznemi środkami! mieszkali np. opodal Marrakeszu w namiocie, gdyż nie stać ich było na hotel). Działalność górską rozpoczęli dnia 26 sierpnia. Podczas gdy Heckmair, chory na żołądek, pozostał w schronisku, trzej pozostali uskutecznili I. w. wsch. grzędą na Agelzim, drogą częściowo b. trudną, poczem zeszli z przełęczy na pn. od Tadatu. Uzgadniam w ten sposób z terenem wątpliwe infomacje, aby do reszty nie zaciemniać i tak już mętnego obrazu; chociaż jest dość prawdopodobne, iż Kröner i tow. weszli tegoż dnia jedynie na jakiś nienazwany wierch (najpewniej P. 3760 m) znacznie na pn. od właściwego Agelzimu: na to by wskazywała przynajmniej zarówno mapka Krönera jak i pewne uwagi w jego opisie.

Nazajutrz Heckmair i Kröner przeszli pn.-wsch. grań Kopy Uanums (I. prz.), skąd weszli jako X partja na Tubkal. Cierpieli bardzo od klimatu, «diese Fahrt war mein und auch Anderls grösster alpiner *Schlauch!*» pisze o niej Kröner, zdobywca pn. ściany Grands Charmoz. Tegoż dnia bracia Möhn przeszli pn.-wsch. i pd. grań Imus-zera (I. prz.) i weszli (XI. w.) na Tubkal.

Wreszcie dnia 30 sierpnia jako pierwsi przechodzą ci alpiniści pn.-wsch. grań Assif n'Timellilt, poczem przez Amcharas n'Igliua (IV. w.) schodzą na Tizi n'Agudel n'Mzier i stąd do Ait Mizan.

Na wyprawie niemieckiej skończyła się lista obcych poprzedniczek polskiej wyprawy. Na podstawie zapisków w schronisku Arrund nie sposób stwierdzić czy w 1933 r. odbyły się jakie lokalne wejścia na Tubkal: czytamy tam jedynie o próbie — nieudanej — oficerów francuskich wejścia nań w maju 1934 r. Z rozmów jednak, przeprowadzonych na miejscu w Marrakesz, można śmiało przyjąć, iż oprócz jedenastu wymienionych na tem miejscu, dokonano conajmniej kilku jeszcze wejść na Tubkal, oczywiście zwyczajną drogą; chociaż nawet tak prosta wycieczka nie jest wśród, złożonej raczej ze skromnych turystów, Sekcji Marokańskiej Francuskiego Klubu Alpejskiego bynajmniej pospolitem zjawiskiem.

BIBLJOGRAFJA

1. Baker G. P., The High Atlas and Marrakech: a Note («Alpine Journal», nr. 242, z maja 1931 r., str. 147—151).

2. Ball John, Mountaineering in the Great Atlas («Alpine Journal» VI, str. 220—231).

3. Blumenthal Moritz, Ein Vorstoss in den Hohen, Mittleren und den Sahara-Atlas («Die Alpen — Les Alpes — Le Alpi» z 1927 r., str. 401—415).

4. Carte de reconnaissance du Maroc au 100.000. Wyd. Service Géographique du Maroc (wyszła dopiero część arkuszów).

5. Delaye Th. J. cpt, Carte touristique du Grand Atlas de Marrakech (Editée par le Féderation des Syndicats d'Initiative et de Tourisme du Maroc et la Section marocaine du Club Alpin Français, 1930).

6. Hauser Walter Dr., Im marokkanischen Atlas («Der Bergsteiger» z kwietnia 1932 r., str. 415—419).

7. Hauser Walter (Mitarbeit: Henri Rebsamen und Hermann Bossard), Im marokkanischen Atlas («Die Alpen — Les Alpes — Le Alpi», z 1929 r., str. 322—330).

8. Heckmair Andreas und Kröner Gustav, Bergsteigerfahrt in den Hohen Atlas («Deutsche Alpenzeitung» z 1933 r., str. 1—15).

9. Jacqueton G., Excursion dans l'Atlas marocain («La Montagne» z 1912 r., str. 514—520).

10. Lepiney Jacques de, The Mountains of Morocco: The High Atlas («Alpine Journal» nr. 237, z października 1928 r., str. 222—234).

11. Lepiney Jacques de (renseigments de...), Courses nouvelles Groupe de Haute Montagne: Djebel Aksoual (3860 m) et Djebel Likoumt (3907 m) par l'arête O. — Djebel Iguenouane (3872 m) par l'arête Ouest («La Montagne» z 1929 r., str. 191—192).

12. Lepiney Jacques de (renseigments de...), Djebel Ifni ou Toubkal («La Montagne» z lipca 1923 r.).

13. Lepiney J. de, Neltner L. et Stofer A., Carte-esquisse orographique des Massifs de l'Inghemar, du Likoumt, du Toubkal et de l'Ouenkrime. Echelle: 1:40.000 (Club Alpin Français, Section du Maroc, 1930).

14. Maroc au 200.000 (Wyd. Service Géographique du Maroc).

15. M. G., Aus dem Hohen Atlas («Österreichische Alpenzeitung» z października 1931 r.).

16. Möhn Arwed, Als Bergsteiger nach Marokko («Österreichische Alpenzeitung» z 1933 r., str. 10—13).

17. Neltner Louis, Impressions d'Atlas. Au Toubkal («La Montagne» z 1928 r., str. 121—128).

18. Neltner Louis, Le Massif Central du Haut Atlas («Manuel d'alpinisme», Chambery 1934, tom I., str. 373—383).

19. Neltner Louis, Notes sur le Haut-Atlas («La Montagne» z 1929 r., str. 217—286).

20. Pollitzer-Pollenghi Andrea de, L'Atlante. La traversata per cresta dei massicci del Toubkal e del Likoumt («Rivista Mensile del Club Alpino Italiano» z 1933 r., str. 350—361 i 409—423).

21. Pollitzer-Pollenghi Andrea de, The Atlas Mountains («Alpine Journal», nr. 246 z maja 1933 r., str. 96—120).

22. Posselt Gyula, Siturám Marokkóban («Turistak Lápja» z 1933 r., str. 321—326).

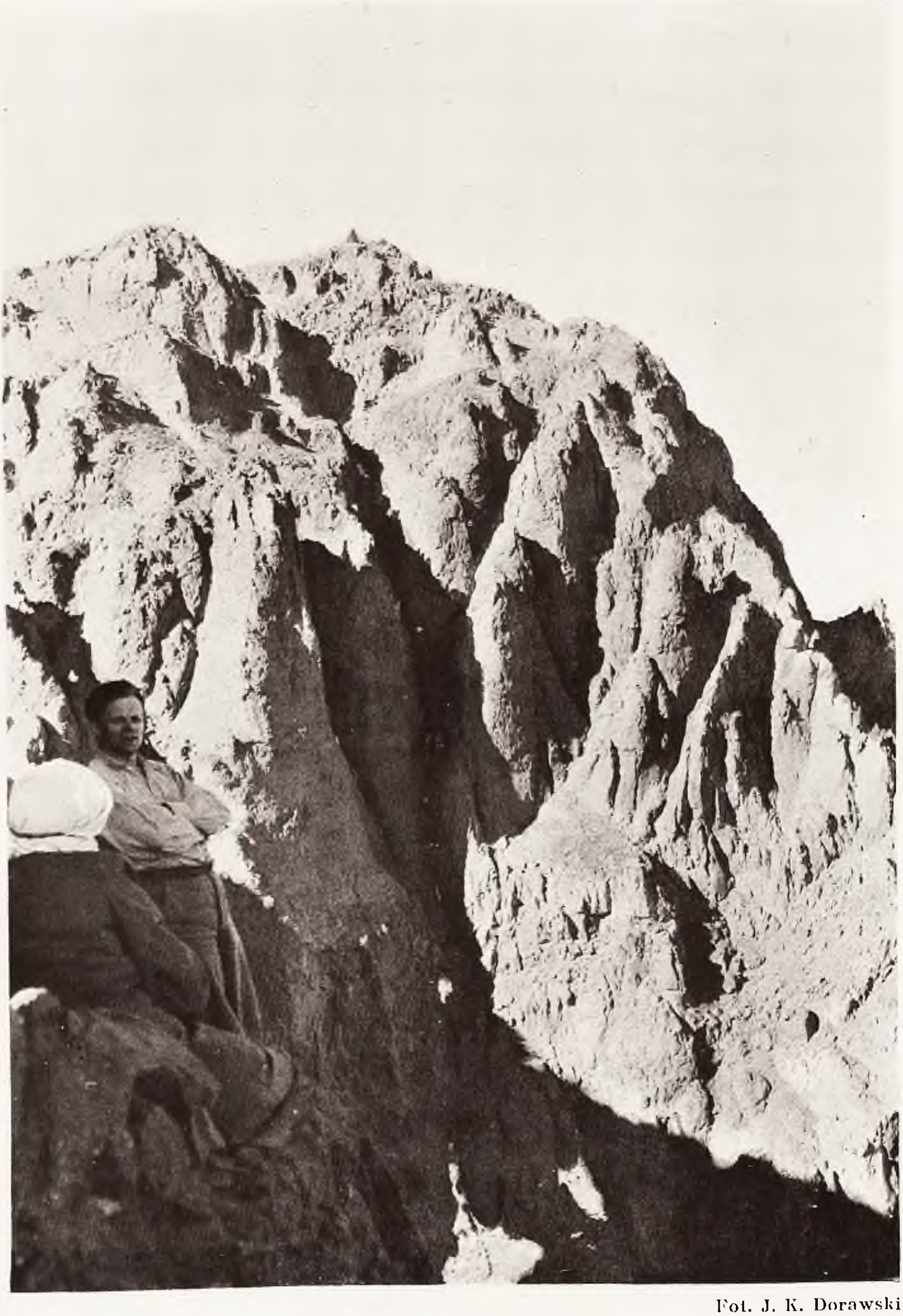
23. Rand Herron Alberto, L'Alto Atlante e le prime ascensioni delle cime Est e nord del Gebel Tubkal («Rivista Mensile del Club Alpino Italiano» z 1928 r., str. 2—6).

24. Segonzac Marquis de, Au Maroc («La Montagne» z 1923 r., str. 33—45).

25. Taternik, zeszyt specjalny z kwietnia 1935 r., poświęcony Polskiej wyprawie w Wysoki Atlas.

26. Wyprawa polska w Atlas («Taternik» z 1934 r., str. 121—128).

J. A. Szczepański



Fot. J. K. Dorawski

TUBKAL OD POŁUDNIA

PRZYGOTOWANIE, PRZEBIEG I WYNIKI WYPRAWY
(SPRAWOZDANIE OFICJALNE)

I. CEL WYPRAWY, JEJ ORGANIZACJA I SFINANSOWANIE

W «Taterniku», XVIII, 121 i 122, dość dokładnie omówił już podpisany komitet dzieje tworzenia i doprowadzenia do skutku Polskiej Wyprawy w Wysoki Atlas 1934 r. Opiekę nad sprawami wyprawy pełnił honorowy komitet organizacyjny z prof. dr. Walerym Goetlem jako przewodniczącym. Techniczny komitet organizacyjny tworzyli projektodawcy wyprawy: Jan Kiełpiński i Jan A. Szczepański. Honorowy protektorat nad wyprawą objęli: wicem. inż. Aleksander Bobkowski, oraz Zarząd Główny, Sekcja Turystyczna i Oddział Krakowski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.



Fot. J. K. Dorawski

Uczestnicy wyprawy.
Od lewej: S. Groński, J. Kiełpiński, Z. Korosadowicz, B. Chwaściński, J. A. Szczepański, K. Piotrowski, J. Golcz, J. K. Dorawski, J. Wojsznis i L. Gorski

Wyprawę zorganizowano jako ogólno-polską, dlatego też wzięli w niej udział taternicy z rozmaitych środowisk w ogólnej liczbie dziewięciu. A mianowicie: 1) Bolesław Chwaściński (Warszawa), 2) dr. med. Jan Kazimierz Dorawski (Kraków), 3) Jerzy Golcz (Sztrasburg), 4) dr. Ludwik Gorski (Kraków), 5) mg. Stanisław Groński (Poznań), 6) inż. Jan Kiełpiński (Kraków), 7) Zbigniew Korosadowicz (Zakopane), 8) red. Jan Alfred Szczepański (Kraków), 9) Justyn Wojsznis (Warszawa). W podróży do Atlasu i w pierwszych dniach działań górskich towarzyszył ponadto wyprawie dr. Kazimierz Piotrowski (Kraków), ówczesny prezes Sekcji Turystycznej PTT.

Kierownictwo wyprawy objął dr. Jan K. Dorawski, jej skarbnikiem został mg. St. Groński. Szereg innych funkcyj specjalnych rozdzielono pomiędzy pozostałych uczestników wyprawy.

O celach wyprawy wypowiedział się już «Taternik», XVIII, 128. Dla realizacji tych celów zgromadził komitet następujące sumy:

1) 6130 zł z Funduszu Alpinistycznego im. Mieczysława Świerza, administrowanego przez Sekcję Turystyczną PTT, a mianowicie:

a) z dotacji Zarz. Gł. na ów fundusz za lata 1933 i 1934	3000 zł
b) z wpłat na tenże fundusz różnych Oddziałów P. T. T.	3130 »

2)	specjalna subwencja Państw. Urz. Wychowania Fizycznego	2000 »
3)	specjalna subwencja Sekcji Turystycznej PTT	1513 »
4)	specjalna subwencja Oddziału Krakowskiego PTT	1000 »
5)	specjalna subwencja Zarządu Głównego PTT	1000 »
6)	specjalna subwencja Oddziału Poznańskiego PTT	500 »
7)	fundusze prywatne uczestników wyprawy	3100 »

Razem w kasie wyprawy znalazło się zatem 15.243 zł, do których jako rezerwę kasową dołączono 1500 zł pożyczki, zaciągniętej w Oddziale Krakowskim PTT.

Z tej ogólnej sumy, wydatki przed rozpoczęciem wyprawy (na sprzęt, literaturę i t. p.) wyniosły 4463 zł (wliczając w to już jednak opłaty za przejazd z Krakowa do Casablanca). Z pozostałej kwoty 12.280 zł przywieziono spowrotem nienaruszoną pożyczkę od Oddziału Krakowskiego (którą natychmiast zwrócono) oraz 279 zł kapitału; tę ostatnią kwotę obrócono później na opracowanie materjału fotograficznego.

O licznych i wytężonych pracach przygotowawczych do wyprawy informował już «Taternik», XVIII, 122. Na tem miejscu składamy serdeczne podziękowanie tym wszystkim czynnikom, które swojem poparciem, współpracą i subwencjami umożliwiły dojście wyprawy do skutku i wypełnienie przez nią jej zadań. W szczególności składamy serdeczne podziękowanie wszystkim czynnikom, które objęły protektorat nad wyprawą, oraz komitetowi honorowemu wyprawy z p. prof. dr. Walerym Goetlem, niestrudzonym propagatorem, orędownikiem i obrońcą idei górskich wypraw egzotycznych, na czele — jak również pp. prezesom Oddziałów: Krakowskiego i Poznańskiego, dr. Janowi Nowickiemu i dr. Tadeuszowi Smoluchowskiemu, i całym Zarządom tych Oddziałów. Raz jeszcze okazało się, że te Oddziały PTT żywią zarówno pełną życzliwość dla Sekcji Turystycznej (z którą łączą je węzły tradycyjnej przyjaźni), jak również, że posiadają pełne zrozumienie dla ważności i znaczenia polskich wypraw alpinistycznych. Z przyjemnością zresztą stwierdzić możemy, że zrozumienie celu i ważności tych wypraw umocniło się w całem Polskiem Towarzystwie Tatrzańskiem, na co najlepszym dowodem jest wysokość kwoty, jaką zdołano zebrać z Oddziałów na Fundusz im. Mieczysława Świerza. W punktualnem wpłaceniu obowiązkowych sum na ten fundusz należy wyróżnić zarówno Oddział Warszawski i Tarnowski, jak i liczne Oddziały zachodnio- i wschodnio-beskidowe.

Z czynników, stojących poza PTT, niezmierne znaczenie miało dla nas życzliwe stanowisko Min. Skarbu (bezpłatne paszporty) oraz Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego z p. pułk. Kilińskim na czele. Tylko subwencji, której P. U. W. F. udzielił wyprawie, zawdzięczać mogliśmy pełne wykonanie programu, t. j penetrację również Masywu Zachodniego Wysokiego Atlasu.

Wyprawa trwała od dnia 4 czerwca do dnia 11 sierpnia 1934 r. i wypełniła wszelkie swoje zamierzenia, tak wysokogórskiej jak i propagandowej natury.

II. OBRAZ DZIAŁALNOŚCI WYPRAWY

1. PODRÓŻ.

4 czerwca. Wieczorem sześciu uczestników wyprawy odjeżdża koleją do Wiednia. Dwóch innych czyni to dobę później.

5 czerwca. Pobyt w Wiedniu, uzupełnianie sprzętu wysokogórskiego i podróżniczego.

6—7 czerwca. Podróż do Marsylji (8 uczestników), drogą przez Wenecję i Medjolan.

8 czerwca. Pobyt w Marsylji, uzupełnianie sprzętu obozowego i naukowego. Przyjazd Golcza ze Sztrasburga. Wizyta Dorawskiego i Golcza u konsula polskiego i uzyskanie listu polecającego. Przybycie Piotrowskiego.

9—11 czerwca. Podróż morzem do Casablanca, II klasą statku pasażerskiego «Djenné» (za zniżoną do połowy opłatą). Formalności celne w Casablanca nasuwają poważne trudności, likwiduje się je z pomocą p. Władysława Radziwanowskiego, attaché konsulatu polskiego w Casablanca, oraz p. de Mazières, prezesa Sekcji Marokańskiej CAF.

2. ORGANIZACJA WYPRAWY W CASABLANCA I MARRAKESZ.

12 czerwca. Dorawski i Piotrowski jadą do Rabat, złożyć wizytę w «cabinet diplomatique» franc. rezydenta generalnego i w Service du Tourisme, celem uzyskania pisma polecającego do generała, komenderującego okręgiem Marrake-

szu. Golcz i Szczepański udzielają informacyj przedstawicielom prasy marokkańskiej, na specjalnej konferencji, zainicjowanej przez p. Radziwanowskiego, poczem ośmiu członków wyprawy odjeżdża zaraz w południe do Marrakesz (240 km autostrady). Dorawski i Piotrowski składają szereg dalszych wizyt w Casablanca (konsulowi honorowemu R. P. p. Roucher, prezesowi de Mazières etc.), poczem nazajutrz również jadą do Marrakesz, gdzie wyprawa zakłada swoją podstawową bazę operacyjną, i gdzie wspólnie z władzami francuskiemi ustalano szczegóły organizacji karawan i terenu objętego eksploracją oraz uskuteczniano zakupy żywności. Stosownie zatem do podziału ekspedycji na trzy główne etapy, trzykrotnie wyruszano i powracano do Marrakeszu, przyczem za każdym razem szereg zajęć, związanych z należytem funkcjonowaniem wyprawy, wymagał pobytu w tem mieście po parę dni.

Pierwszy pobyt w Marrakeszu wypadł na dni 13—15 czerwca. Dorawski i Piotrowski złożyli wizytę gen. Catroux, komendantowi okręgu wojskowego Marrakeszu, poczem — wraz ze Szczepańskim — udali się do mjr. Boyer, szefa Service des affaires indigènes, z którym ustalono na mapie zasiąg terenowy, dostępny dla wyprawy: objął on wszystkie tereny ważne pod względem alpinistycznym czy eksploracyjnym. Szczegóły omawia później Dorawski z kpt. Chollet, któremu poruczono kontakt z wyprawą. Pozatem Dorawski i Piotrowski nawiązują kontakt i uzyskują poparcie ze strony Syndicat d'Initiative. Równocześnie Chwaściński i Kielpiński zakupują potrzebną żywność, której upakowanie, jak również zapakowanie sprzętu wysokogórskiego i indywidualnego, przeprowadza Gorski. Wreszcie poszczególni uczestnicy wyprawy piszą pierwsze sprawozdania dla dzienników.

Drugi pobyt w Marrakeszu objął dni 2—4 lipca. Znowu Dorawski i Golcz konferowali z władzami i organizacjami turystycznemi, Chwaściński i Kielpiński zakupywali żywność, pakował i dzielił ją Gorski. Przesłano też urzędowe sprawozdania z wyników wyprawy, oraz napisano b. wiele korespondencyj do pism polskich.

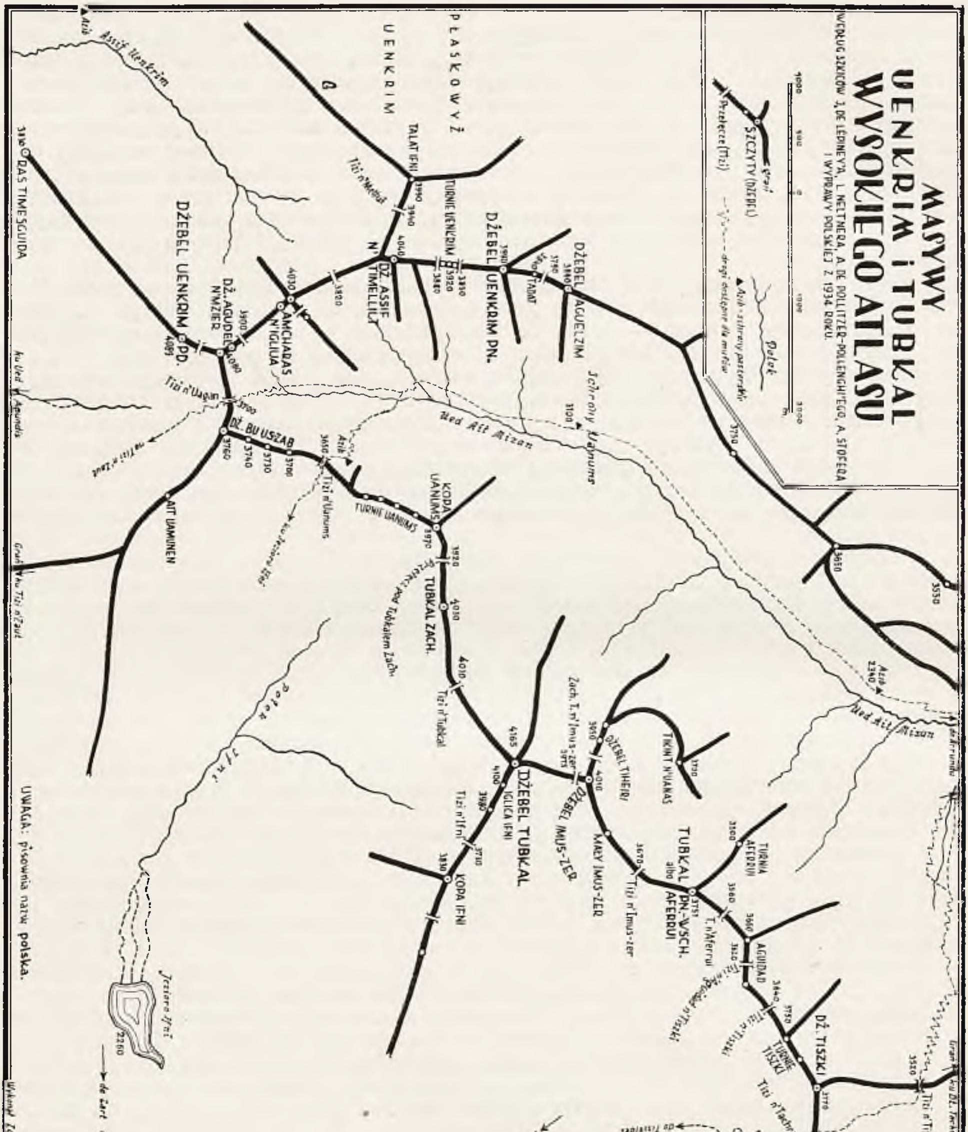
Trzeci pobyt w Marrakeszu trwał przez dni 25—29 lipca. Rano w dniu 26 lipca Chwaściński, Golcz, Groński i Korosadowicz powrócili do Casablanca. Następnego dnia dojechał do nich Gorski. Wspólnie wzięli oni następnie udział w przyjęciu, zorganizowanem przez Sekcję Marokańską CAF, oraz w konferencji prasowej. Dnia 29 lipca odjechali na statku «Djenné» do Europy. Pozostała grupa uczestników wyprawy opracowała tymczasem dalsze sprawozdania urzędowe i korespondencyjne, oraz zorganizowała trzeci i ostatni etap ekspedycji (Dorawski i Szczepański konferują z władzami, zakupuje żywność Kielpiński).

Z etapu tego powrócili jego uczestnicy do Marrakesz w dniu 8 sierpnia, poczem nastąpił epilog całej wyprawy. Dnia 9 sierpnia Dorawski i Szczepański złożyli wizytę pożegnalną we francuskiem dowództwie, u zast. komend. gen. de la Baume, poczem zlikwidowano inne sprawy marrakeskie. Dnia 10 sierpnia powrócono do Casablanca. Już zaś następnego dnia kierownik rozwiązał wyprawę, po zorganizowaniu wysyłki frachtem bagażu ekspedycji, po ostatnich wywiadach prasowych i po wizytach pożegnalnych u kontrolera okręgu, szefa służby turystycznej oraz wśród miejscowej polonji. Dorawski, Kielpiński i Szczepański udają się w dalszą, prywatną już podróż, Wojsznis powraca prosto do Europy, drogą wodną.

Chcemy tu w zakończeniu wyraźnie podkreślić, że przez cały okres pobytu w Marokku spotykaliśmy się z nadzwyczaj uprzejmą i uczynną pomocą zarówno p. Radziwanowskiego, jako przedstawiciela jedynej placówki polskiej na ziemi Marokka, jak i ze strony francuskiej, i to zarówno władz wojskowych jak i organizacyj i placówek turystycznych.

3. W MASYWIE CENTRALNYM WYSOKIEGO ATLASU.

W całym okresie czasu, przeznaczonym na eksplorację tego masywu, typ działań wysokogórskich był bardziej alpinistyczny i sportowy, niż odkrywczy. Organizacja karawany — dokonana telefonicznem zamówieniem Syndykatu Inicjatywy z Marrakesz — była jeszcze dość prymitywna, przez cały okres towarzyszyło alpinistom tylko trzech mulników z mułami, Ibrahim ben Mohammed, Si Aomar ben Ali i Lhassen ben Abd er Hmen, wszyscy z Arrund, za wynagrodzeniem dziennem po 17.50 franków marokańskich (*al pari* z francuskiemi). Ibrahim władał językiem francuskim i służył za tłumacza, Lhassen miał najlepszego muła, a Si Aomar miał kucharzować; niestety wiedza jego na tem polu okazała się żałośnie szczupła i ograniczała się właściwie do umiejętności zagotowania wody i zmywania naczyń. Si Aomar umiał jednak wymienić nazwy gór, wyrabia się on na rodzaj przewodnika. Wyprawa polska podzieliła się w tym okresie na dwa etapy.



A) W Ait Mizan (gniazda Tubkalu i Uenkrimów)

16 czerwca. G. 6.45: odjazd specjalnie wynajętym autobusem z Marrakeszu ku górom. Krótki postój w miejscowości klimatycznej Asni. G. 8.30: od wioski Agersiual[1]) (65 km na pd. od Marrakeszu; koniec drogi jezdnej) wyprawa rusza

[1]) Wszędzie w niniejszem sprawozdaniu stosujemy pisownię polską nazw berberskich, o ile możności fonetyczną. Stąd różnice z pisownią «Taternika» z lipca 1934 r., który posługiwał się jeszcze pisownią francuską.



Fot. J. Wojsznis

NA WIERZCHOŁKU TUBKALU



Fot. J. K. Dorawski

WIDOK Z TUBKALU NA GNIAZDA LIKUMTU I INCHEMARA

pieszo. Żywność i bagaż (8 skrzyń i 8 worków) dźwiga 6 mułów, którymi kieruje sześciu mulników. G. 11.30: schronisko koło wioski Arrund, u wstępu do Dol. Ait Mizan (1860 m). G. 16.30: ekspedycja dociera do azibów [2]) 2340 m, gdzie zakłada obóz I. Pogoda naogół ciepła i bez opadów, ale góry ogarnięte obłokami [3]).

17 czerwca. Przez całą dobę trwają bez żadnych przerw silne opady deszczowe i śniegowe. Szereg burz. Temperatura w obozie +3° (w południe) i +5° (wieczorem). Popołudniu idą na wywiady: Kielpiński (w głąb doliny) oraz Wojsznis, który wychodzi na jedno z ramion pn. grani Dżebel Agelzim (do wys. ponad 3000 m).

18 czerwca. Od rana rozpogodzenie się. Ciepło. Podział na grupy szturmowe. W obozie pozostaje chory Golcz i opiekujący się nim Dorawski.



Fot. J. K. Dorawski

Turnia Aferrui

Grupa A (Chwaściński, Gorski, Korosadowicz, Piotrowski, Wojsznis) opuszcza, g. 5.30, obóz jadąc na mułach w górę Dol. Ait Mizan. Przy wielkich Azibach Uanums (3100 m) odsyła muły i pieszo wchodzi na Tizi n'Uanums (3650 m). G. 9.25: Piotrowski powraca z przełęczy do obozu. Reszta uczestników wykonuje w poprzek pd. i pd.-wsch. żeber i żlebów Kopy Uanums i Tubkalu Zachodniego długi trawers pod pd. ścianę Tubkalu, osiągając ją w wys. ok. 3500 m. Ścianę przecina pd. żleb, którym, nieco trudno, na pd.-zach. grań w odległości 50 m od wierzchołka i nią — I. w. od pd. — na szczyt Dżebel Tubkal (4165 m). G. 17—17.45: pobyt na wierzchołku. Zejście pd.- zach. granią bez żadnych trudności na Tizi n'Tubkal (4010 m), skąd, g. 18, całkiem łatwe zejście po piargu i śniegu do Azibów Uanums, g. 19.30, i do obozu, g. 21.15.

Grupa B (Groński, Kielpiński, Szczepański) opuszcza obóz g. 6.30, odrazu pieszo. G. 11: idąc od strony pn.-zach. na t. zw. Tubkal Północny czyli Dżebel Aferrui osiąga łatwą wspinaczką dziewiczą turnię w dolnej części jego pn.-zach. grani. Kopczyk, bilety. Turnia otrzymuje nazwę: Turnia Aferrui (ok. 3250 m). Zejście na nienazwaną przełęcz ok. 3150 m, dzielącą turnię od właściwej grani Aferrui: dość trudno i częściowo z pomocą liny. G. 16.30: I. w. pn.-zach. granią na wierzchołek Dżebel Aferrui (3751 m; ogółem III. w. na Aferrui). Tempo powolne, brak aklimatyzacji. Całkiem łatwe zejście pn.-wsch., główną, granią na Tizi n'Aferrui (3560 m), z której I. z. ku pn.-zach., do Kotła pod Aferrui. G. 20.30: obóz w azibach 2340 m.

19 czerwca. Dzień odpoczynkowy. Różne prace obozowe. Piotrowski odjeżdża na mule do Asni, skąd autobusem powraca do Marrakesz i wkrótce opuszcza Marokko.

20 czerwca. Działają trzy grupy szturmowe, w obozie zostaje chory na żołądek Kielpiński.

Grupa A (Dorawski, Gorski, Szczepański) atakuje najpierw turnię Tikint n'Uanas jej pn. ścianą (I. prz.). Końcowy uskok Tikint jest trudny. Na wierzchołku (ok. 3700 m) stary kopczyk. G. 13.30: z Tikint granią (I. prz.) na dwuwierzchołkowy Dżebel Tiheiri (3950 m); jego b. trudny uskok pn. grani (na wys. 3730 m) Szczepański obchodzi po zach. stronie. G. 15.30: wejście rozpłaszczającym się grzbietem na Dżebel Imus-zer (4010 m). Powrót do obozu w Dol. Ait Mizan: z Imus-zera jego zach. grzbietem na Tizi n'Tiheiri i z niej ku pn. (I. z.) do Kotła pod Imus-zerem.

---

[2]) Por. «Taternika», XVIII, 123. Zarówno na tem miejscu jak i w całej lekturze konieczna jest znajomość ogólnych uwag w «Taterniku», XVIII, 121—128, zawartych, do których tu już nie powracamy.

[3]) Wysoki Atlas ma w porze letniej z reguły suchą i słoneczną pogodę. Dlatego podajemy w dalszym ciągu wzmianki o pogodzie i jej charakterystykę tylko wówczas, gdy odbiegała od owej normy.

Grupa B (Chwaściński, Wojsznis) przechodzi, g. 8.20—11.20, pn.-zach. grań (I. prz.; droga nieco trudna) Zach. Turni Tiszki (3750 m), skąd całkiem łatwo wchodzi na Dżebel Tiszki (3770 m) i przez jej pn. grań schodzi na Tizi n'Tifurar (3520 m), skąd drogą mułową powraca do obozu.

Grupa C (Golcz, Groński, Korosadowicz) opuszcza obóz g. 6 i dokonywa I. prz. pn.-zach. grani Aguidad n'Tiszki (3660 m), po drodze wchodząc na dość wyodrębniającą się turnię 3460 m (50 m wzgl. wys.). Turnia: g. 10.30, szczyt: g. 13. Droga jest długa i częściowo dość trudna; ogółem II. w. na Aguidad. Z niego zejście pn.-wsch. granią na Tizi n'Tiszki (3640 m), a z niej ku pn.-zach. (I. z.) do obozu.

21 czerwca. Zachmurzenie znaczne i przejściowy deszcz. Zwinięcie obozu I. i przemarsz wczesnem popoludniem wgórę doliny do Schronów Uanums (3070 m), gdzie rozbicie obozu II.

22 czerwca. Zachmurzenie koło południa znaczne i przejściowe deszcze. Podział na cztery grupy szturmowe.

Grupa A (Golcz, Groński) zdobywa trudną pn.-zach. ścianę bocznej zach. grani Tubkalu (I. prz.). Wymarsz g. 7.40, wejście w ścianę na wys. 3680 m, grań w wys. 3970 m, wierzchołek Dżebel Tubkal g. 13. G. 15: zejście zupełnie łatwą pd.-zach. granią na Tubkal Zachodni (4030 m) i na Kopę Uanums (3970 m) skąd łatwe zejście, g. 17.30, wprost ku pn. do Kotła pod Tubkalem i do obozu.

Grupa B (Gorski, Kiełpiński, Korosadowicz) odchodzi z obozu o g. 7 i w g. 8.45—15.15 dokonywa II. w. pn.-wsch. granią na Assif n'Timellilt (4040 m; ogółem III. w.): droga jest długa i częściowo trudna, grań złożona z kilku turni, z których najtrudniejsza jest turnia 3760 m. Grań nie kulminuje w wierzchołku lecz w grani głównej na pn. odeń. Zejście ze szczytu wprost ku zach. G. 17.30: Korosadowicz powraca do obozu, g. 18.15 powracają Gorski i Kiełpiński.

Grupa C (Chwaściński, Wojsznis): odmarsz g. 7, Tizi n'Uanums g. 9.30, poczem ok. 600 m wdół na stronę Dol. Ifni i — w g. 11.30—14.30 — I. w. wsch. ścianą na Dżebel bu Uszab (ogółem II. w. na ów szczyt). Droga jest naogół b. łatwa, ma jednak kilka miejsc dość trudnych; osiąga grań szczytową bu Uszabu w siodle pomiędzy głównym (3760 m) a pd. ze środkowych (3740 m) wierzchołków. Łatwą zach. granią na Tizi n'Uagan (3700 m) i zejście na pn. do obozu.

Grupa D (Dorawski, Szczepański) odchodzi z obozu — spowodu choroby Szczepańskiego — dopiero o g. 10 i o g. 14 osiąga nową, nieco trudną drogą od wsch., Dżebel Agelzim (3860 m; ogółem III. w.). Łatwe zejście ku pn.-zach., również nową drogą, wprost do obozu, g. 16.

23 czerwca. Odpoczynek.

24 czerwca. Trzy grupy szturmowe, w obozie pozostaje Wojsznis, cierpiący na ropień w lewej stopie.

Grupa A (Chwaściński, Golcz, Gorski): wymarsz g. 7.30, Tizi n'Uagan g. 10.15. Bez żadnych trudności wsch. granią (g. 11.20) na Dżebel Agudel n'Mzier (4080 m; ogółem V. w.) i pn. granią, g. 12, na Uenkrim Południowy (4089 m; ogółem V. w.). Stąd dość trudno na Tizi n'Agudel n'Mzier (ok. 3900 m; g. 14) i I. ścisłe wejście b. trudną i efektowną, z 3-ch turni zbudowaną pd.-wsch. granią dwuwierzchołkowego Amcharas n'Igliua (4030 m; g. 17.45 pd. wierzchołek i g. 18.45 pn., główny wierzchołek, ogółem V. w.). Jeszcze b. łatwe zejście jego pn. granią na Tizi n'Assif n'Timellilt (3820 m; g. 19.30), skąd I. z. wprost w Dol Ait Mizan. G. 21.45: powrót do obozu.

Grupa B (Dorawski, Kiełpiński, Szczepański) idzie na Tizi n'Uanums (3650 m), przyczem worki (które zostają zresztą na przełęczy) wynosi im muł. Skolei Dorawski i Kiełpiński dokonują, w g. 10—16, I. całkowitego przejścia grani czterech Turni Uanums (z których dwie środkowe były jeszcze dziewicze; droga b. eksponowana i częściowo trudna) — zaś Szczepański, który czuł się źle, obszedł grań dołem po wsch. stronie (częściowo nową drogą) i połączył się z towarzyszami dopiero na Kopie Uanums (3970 m). Godz. 18: długą, lecz pozbawioną wszelkich trudności drogą od zach., omijając wierzchołek Tubkalu Zachodniego, osiągają wszyscy trzej Dżebel Tubkal 4165 m). Powrót do obozu, g. 20.30, zwyczajną drogą przez Tizi n'Tubkal.

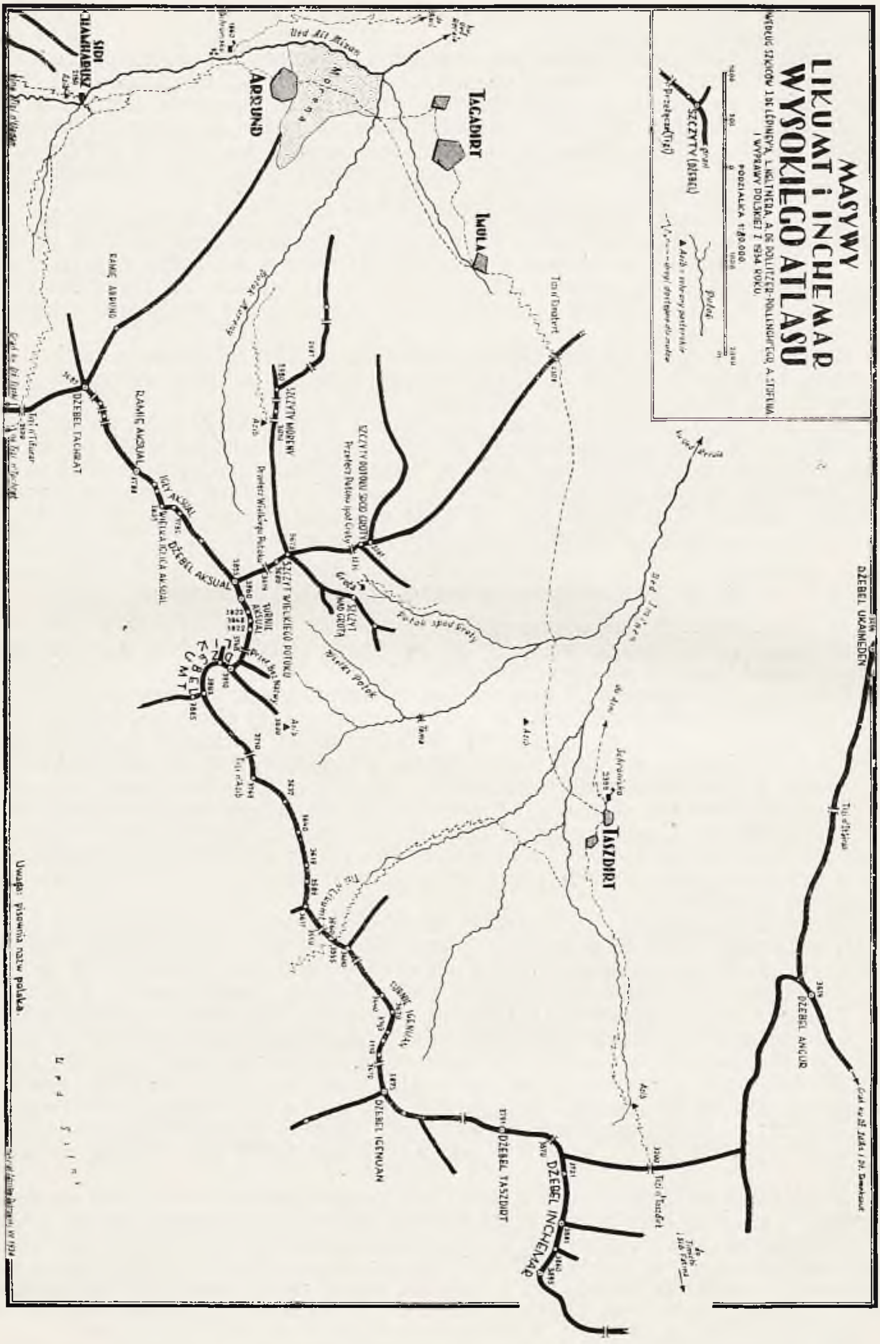
Grupa C (Groński, Korosadowicz) opuszcza obóz g. 7, poczem Korosadowicz samotnie wchodzi (I. prz.) częściowo trudną pn.-wsch. grzędą, g. 10.30, na Uenkrim Północny (3990 m; ogółem III. w.), a wspólnie z towarzyszem na turnię Tadat (3840 m) jej dość trudną pd. granią (I. prz.; g. 11.30). Stąd ponowne wejście na Uenkrim Północny i dalej zejście jego interesującą pd. granią na przełęcz 3850 m tuż na pn. od grupy Turni Uenkrim, z niej, g. 17, b. łatwe zejście do obozu.

25 czerwca. Dzień odpoczynkowy. Kiełpiński idzie na Tizi n'Uanums po pozostawione na niej worki.

26 czerwca. Trzy grupy szturmowe, w obozie zostają jako chorzy: Chwaściński, Szczepański i Wojsznis.
Grupa A (Dorawski, Golcz, Korosadowicz) dokonuje I. w. na Amcharas n'Igliua (4030 m) jego piękną, pn.-wsch. ścianą (VI. w. na Amcharas). Droga jest b. trudna, rozwiązująca najtrudniejszy problem w otoczeniu Ait Mizan. Stąd b. łatwe zejście na Tizi n'Assif n'Timellilt (3820 m), gdzie do grupy przyłącza się Groński. Wspólne nieco trudne I. w. pd.-wsch. granią na Assif n'Timellilt (4040 m; ogółem VI w.), skąd z przełączki między jego wierzchołkami zejście wprost do Dol. Ait Mizan (I. z.).
Grupa B (Groński, Kiełpiński) wyrusza g. 7 i przez Tizi n'Agudel n'Mzier (3900 m) przedostaje się (II. w. a I. prz.) na stronę Dol. Uenkrim skąd, g. 11.30, przechodzi (I. w.) dość trudną (z jednem b. trudnem miejscem) pd.-zach. grań Amcharas n'Igliua (4030 m; ogółem VII. w.). Zejście pn. granią na Tizi n'Assif n'Timellilt (3820 m), gdzie Groński przyłącza się do grupy A, a Kiełpiński schodzi, g. 12.30, wprost do obozu.
Grupę C tworzy samotnie Gorski, który przez Tizi n'Uanums przechodzi na pd. stronę Tubkalu Zachodniego i stąd wchodzi na jego wierzchołek (4030 m). Powrót do obozu przez Tizi n'Tubkal.
27 czerwca. Zwinięcie obozu II. i marsz w dół Dol. Ait Mizan aż do Arrund (1860 m). W tym samym czasie (g. 6—14) Gorski wchodzi od wsch. na pn. grań Dżebel Agelzim i przechodzi stąd grzbiety leżących ku pn. wierchów 3650 m, 3500 m i i., schodząc wprost do Kotliny Arrund. Popołudniu dalszy przemarsz wyprawy przez wieś Imula i Tizi n'Tamatert (2308 m) znakomitą drogą mułową w Dol. Imminen, gdzie w azibach ok. 2300 m następuje rozbicie obozu III.

B) W Ait Imminen (gniazda Likumtu i Inchemara)

28 czerwca. Dzień odpoczynkowy.
29 czerwca. Podział na trzy grupy, mające działać dwa dni. W obozie pozostaje wciąż unieruchomiony Wojsznis.
Grupa A (Chwaściński, Dorawski, Golcz, Korosadowicz) opuszcza obóz g. 6.30 i w g. 15—18.40 pokonywa (I. prz.) b. trudną i nadzwyczaj eksponowaną pn. ścianę Dżebel Likumt 3910 m; ogółem VI. w. na Likumt), poczem schodzi na biwak skalny na wys. 3420 m na zach. od pn. żlebu z Przełęczy Bez Nazwy (g. 20).
Grupa B (Gorski, Groński) odchodzi z obozu o g. 7. Dobrą drogą mułową na Tizi n'Taszdirt (3200 m), skąd o g. 11 odejście pod pn. ścianę Inchemara Środkowego (3885 m). I. pokonanie tej dość trudnej ściany w g. 13—16.30. Stąd dalej granią, g. 17.15, na, najwyższy. Inchemar Wschodni (3895 m; ogółem VI. w.) poczem przejście granią trzech wierzchołków Inchemara na Tizi n'Inchemar (3670 m), gdzie o g. 19 biwak.
Grupa C (Kiełpiński, Szczepański) wspólnie z grupą B wydostaje się, g. 9.45, na Tizi n'Taszdirt, poczem dokonywa I. prz. długiej i na swoim dolnym uskoku b. trudnej pn. grani Inchemara Zachodniego (3881 m). Przez P 3721 m i jego grań pn. powrót na płaskowyż tuż pod Tizi n'Taszdirt, gdzie biwak, g. 19.30.
30 czerwca. Przez Tizi n'Taszdirt powracają Kiełpiński i Szczepański już o g. 10 do obozu. W południe odjeżdża stąd Wojsznis na mule do Asni. Chwaściński, Dorawski, Golcz i Korosadowicz opuszczają miejsce biwaku o g. 8.30 i w g. 11—12.30 dokonują I. w. wprost od pn. na Dżebel Aksual (3860 m; droga łatwa, ogółem IV. w. na Aksual). Zejście jego pn. granią na Przełęcz Wielkiego Potoku (3619 m; g. 13.30), przyczem Chwaściński, Golcz i Korosadowicz wchodzą jeszcze zwyczajną drogą na Szczyt Wielkiego Potoku (3678 m). Powrót do obozu, g. 14.45.
Najpóźniej, gdyż dopiero o g. 15.45, wracają do obozu Gorski i Groński. Wyruszywszy z miejsca biwaku o g. 5 trawersują oni pn. i pd. granią Dżebel Taszdirt (3791 m) oraz pn. i zach. granią Dżebel Igenuan (3875 m) poczem, g. 6.45, dokonują całkowitego prz. czterech Turni Igenuan, przyczem po raz pierwszy pokonany zostaje dogóry b. trudny, 40 m wysoki, wsch. uskok turni 3710 m, nazwanej Donicą *(Pot de fleurs)*. O g. 12.45 dotarcie do Tizi n'Likumt (3550 m), skąd już zejście wprost ku pn., w dolinę.
1 lipca. Zwinięcie obozu i odmarsz, g. 9, wdół Dol. Iminen przez szereg wsi i osiedli jak to: Tamkwist, Ikis, Ait Ali, Ansekru, Areg, Imesker, Tamsrart i i. Nader wyczerpujący i długi marsz pieszy. G. 15: Asni. G. 16.15—17: sprowadzony telefonicznie autobus odwozi ekspedycję do Marrakesz.



4. W MASYWIE WSCHODNIM WYSOKIEGO ATLASU.

W przeciwieństwie do Masywu Środkowego — który nastręczył szereg interesujących zadań natury alpinistycznej do rozwiązania — Masyw Wschodni okazał się (wbrew informacjom Lepineya za pośrednictwem Pollitzera) górami dostępnemi naogół bez żadnych ściśle technicznych trudności, górami o charakterze Tatr Zachodnich (oczywiście w ogromnem powiększeniu). Stosownie do tego obrazu

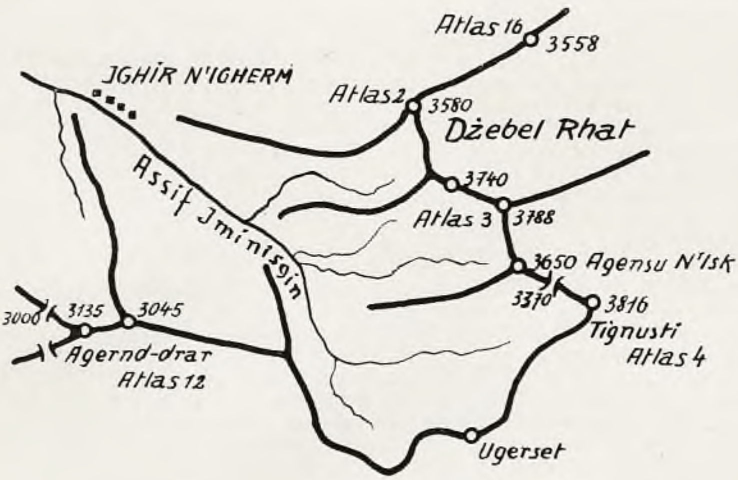
przesunął się nacisk działań wyprawy na moment odkrywczy i eksploracyjny. O ile bowiem Masyw Centralny był już topograficznie dobrze poznany, dysponował szkicem terenu 1:40.000 i odbyło w nim już nawet pewną ilość wejść alpinistycznych — o tyle Masyw Wschodni uchował się jako góry b. mało jeszcze znane, których przedstawienie na mapie wykazywało rażące i zasadnicze błędy (np. gniazdo M'Gunu) lub wogóle jeszcze nie było opracowane (gniazdo Ait Attik).

W całym tym masywie działalność wyprawy rozpadła się na trzy etapy, związane jednak wspólną organizacją karawany i eskorty wojskowej. Do tych terenów — spacyfikowanych dopiero w 1932 r. i ciągle jeszcze niespokojnych — niesposób było wyruszyć bez eskorty, złożonej z żołnierzy tubylczych, mogących służyć zarazem jako pośrednicy w porozumiewaniu się z ludnością. Eskortę tę tworzyli dwaj żołnierze (mohrazni), Mohammed ben Said i jego towarzysz, pod komendą podoficera, brygadjera (plutonowego) Thami. Wszyscy władali zgruba językiem francuskim, i pełnili swe funkcje ku ogólnemu zadowoleniu.

Wśród ogromnych przestrzeni Masywu Wschodniego nie było również mowy o marszach pieszych, wszędzie tam gdzie mogły dotrzeć i przejść muły. Za muła płaciło się tu zresztą tylko 10 fr. Wyprawa dysponowała przez cały czas 9-ma mułami pod wierzch i 6-ma mułami jucznemi. Początkowy bagaż ważył 450 kg, zapakowany w 14 skrzynek i 9 worów. Mulników było stale piętnastu[1]). Pozatem do składu karawany należał jeszcze żołnierz Mohammed ben Ali, pełniący z doświadczeniem i fachowością funkcje kucharza. Ogólem zatem liczyła karawana 28 osób.

A) W Iminisgin (gniazdo Rhat)

5 lipca. Rano podróż specjalnie wynajętym autobusem z Marrakesz do Demnat, 117 km. W *Bureau des affaires indigènes* w Demnat — na telefoniczne polecenie z komendy w Marrakesz — organizuje karawanę i zestawia eskortę akem (starosta) por. Gauthier. Karawana jest gotowa dopiero wieczorem, dlatego wyprawa pozostaje na noc w Demnat. Wykwintna kolacja u państwa Gauthier.



Gniazdo Rhat Wysokiego Atlasu. Podziałka 1:200.000
Wdg. mapy *Maroc au 200.000*, arkusz: Telouet-Est.

6 lipca. G. 7.30: odjazd karawany z biura w Demnat. G. 10: odjazd z miasta Demnat. W długim, 9-ciogodzinnym marszu przez szereg drugorzędnych grzbietów przejście w Dol. Assif n'Ait Ufad (krótki postój we wsi Imaun n'Igeluan) poczem w głąb Dol. Iminisgin, gdzie u stóp kazby koło wsi Ighir n'Igherm rozbicie obozu I, na wys. ok. 1940 m. Wieczorem uczta w kazbie.

7 lipca. Dzień odpoczynkowy. Przyjęcie w obozie dla sziura wsi.

[1]) Jako ciekawostkę notujemy ich nazwiska: Abdelmelk ben Hemmu, Abdullah ben Mohammed, Aheddu ben Ahmed, Aheddu ben Lhassen, Ahmed ben Lhassen, Ahmed ben Mohammed, Ahmed ben Ulait, Ali ben Lhassen, Ali ben Nasr, Hussein ben Lhassen, Ibrahim ben Si-Mohammed, Mohammed ben Ahmed, Mohammed ben Ibrahim, Nasr ben Ali i Said ben Ahmed.

8 lipca. Podział na dwie grupy szturmowe, w obozie zostaje Golcz, który potłukł się przy upadku z muła.

Grupa A (Dorawski, Gorski, Kiełpiński, Korosadowicz, Szczepański) o g. 6.30 odjeżdża z obozu w głąb doliny i podjeżdża na mułach do wys. ok. 2900 m, skąd dokonywa I. w. od pd.-zach. na nieoznaczony na mapie wierzchołek ok. 3740 m w grani szczytowej Dżebel Rhat. Tu Szczepański zatrzymuje się, zaś pozostali przechodzą, g. 13.30, na najwyższy wierzchołek Rhatu, Atlas 3 (3788 m). Grzbiet oznaczony jest kopczykami, ale na szczycie niema śladów bytności człowieka. Powrót do mułów spod Atlasu 2 (3580 m), obóz o g. 20.


Fot. J. Wojsznis
Dżebel Rhat.

Grupa B (Chwaściński, Groński, Wojsznis) jedzie wspólnie z poprzednią do wys. ok. 2900 m, poczem wchodzi na grań na pd. od Dżebel Rhat i nią na wierzchołek Agenssu n'Isk (3650 m), skąd zejście na przełęcz 3370 m i wejście na Dżebel Tignusti (Atlas 4, 3816 m). Powrót do obozu g. 21.15.

9 lipca. Większość ekipy odpoczywa, wyruszają tylko, g. 7.15 Golcz i Korosadowicz. Na mułach do wys. ok. 2400 m, poczem wejście od pn.-wsch. w 1½ godz. na wsch. grań Dżebel Agernddrar, w wys. 3000 m. Przejście grani tego szczytu (wsch. wierzchołek 3045 m [Atlas 12], środkowy wierzchołek 3100 m i zach. wierzchołek 3135 m), powrót do obozu g. 18.

10 lipca. Zwinięcie obozu w Ighir n'Igherm i odmarsz o g. 6.40 wśród wichru wzrastającego wraz z wysokością, utrudniającego pochód i na grzbietach gór osiągającego nasilenie huraganu. Przez Tizi n'Ighili marsz wprost ku pd. przez nieoznaczone na mapie grzbiety i dwie wysokie przełęcze na zach. od Dżebel Agernddrar (najwyższy z nich ok. 3000 m) do Dol. Assif Tasselli gdzie we wsi Tasselli postój południowy, g. 11—14. Stąd marsz wdół Dol. Tasselli do Dol. Tessaut i nią aż do bocznej Dol. Ait Attik, gdzie koło wsi Ait Attik, w terenie jeszcze nieskartografowanym, rozbicie na wys. ok. 2000 m obozu II.

B) W Ait Attik (gniazdo Adrar n'Ikis)

11 lipca. Wywiady topograficzne. Groński opuszcza obóz g. 10.55 i o g. 14.30 wchodzi pn.-zach. grzbietem na główną grań grupy w Dżebel Audżu (ok. 3100 m); powrót do obozu g. 17.30. Chwaściński, Korosadowicz i Wojsznis zwiedzają niższe gniazdo Dżebel Ait Attik, wjeżdżając na mułach na Tizi n'Agersuel i zwiedzając stąd pieszo Dżebel Azelm (2700 m).

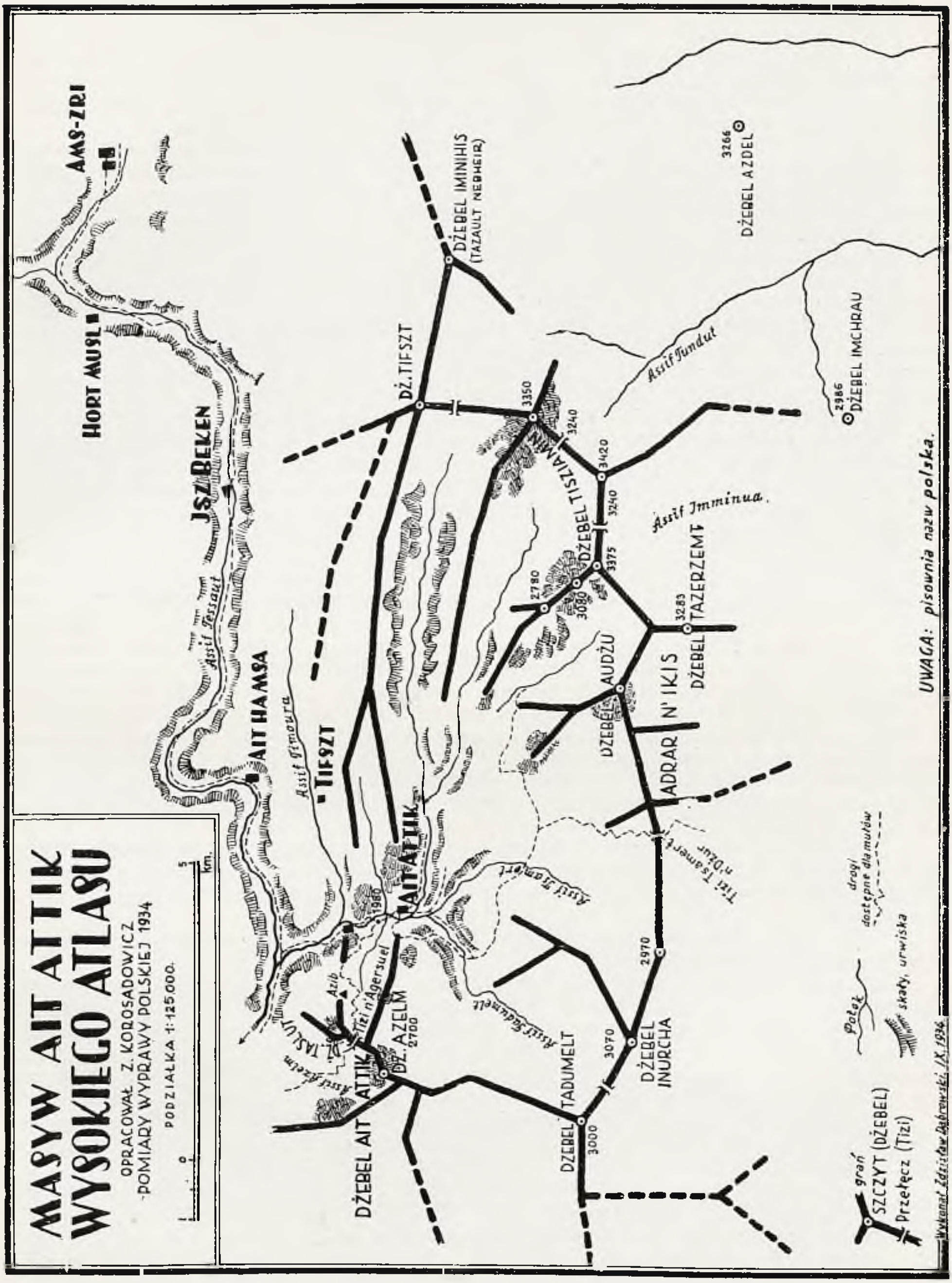
12 lipca. Podział na cztery grupy działające.

Grupa A (Chwaściński, Korosadowicz, Wojsznis) opuszcza obóz g. 7.30 i dokonywa trawersowania długiej grani Dżebel Tisziamin: zach. wierzchołek 3375 m (g. 13.15), środkowy wierzchołek 3420 m (g. 13.45) i wsch. wierzchołek 3350 m (g. 14.15). Powrót do obozu g. 19.30.

Grupę B tworzy Groński, który wspólnie z grupą A jedzie pod Tisziamin, poczem (g. 9.30) idzie sam na Dżebel Tazerzemt (3283 m, g. 13.15), skąd schodzi na przełęcz ok. 3200 m pod Tisziamin i o g. 16.30 wraca do obozu.

Grupa C (Dorawski, Golcz, Szczepański) odjeżdża z obozu g. 7, poczem idzie przez Dol. Assif Tsamert na Tizi Tsamert n'Dżur, skąd dokonywa przejścia wsch. i zach. grani Dżebel Tassilio (Massif Ouest, 2970 m) i wchodzi na Dżebel Inurcha (3070 m). Stąd Golcz i Szczepański zwiedzają jeszcze Dżebel Tadumelt (3000 m), powrót do obozu przez wąwóz Assif Tadumelt, g. 15.30.

Grupa D (Gorski, Kiełpiński) jedzie (g. 7.15) do bocznej dolinki pomiędzy Ait Attik a Tifszt, skąd Gorski zwiedza (g. 14) Dżebel Tifszt (ok. 3100 m) i powraca do obozu g. 18, a Kiełpiński wchodzi od pn.-zach. na zach. wierzchołek Dżebel Tisziamin (3350 m), poczem zatrzymuje się, g. 20.30, na biwak w dolince pomiędzy Ait Attik i Tifszt, gdzie go jednak odnajdują wysłani przez brygadjera Thami na poszukiwanie «zaginionego» mieszkańcy Ait Attik i o g. 24 sprowadzają do obozu.



13 lipca. Dzień odpoczynkowy.

14 lipca. Zwinięcie obozu II. i przemarsz karawany z Ait Attik wgórę Dol. Tessaut przez nieoznaczony na mapie teren do wsi Ams-zri, gdzie na wys. ok. 2300 m rozbicie obozu III. Chwilami pochmurno i chłodna noc.

15 lipca. Zwinięcie obozu III. i przemarsz karawany ku M'Gunowi: z Dol. Tessaut na Tizi Rugult (ok. 3000 m), skąd Doliną Rugult do Ait Mallal i Doliną Ait Refeja do Doliny Ait Arus, ponad dolnym kenjonem której wgórę do wsi Ait Arus, u stóp M'Gunu. Tu rozbicie obozu IV. na wys. ok. 1980 m.

C) W Ait Arus (gniazdo Ichil M'Gun)

16 lipca. Dzień odpoczynkowy. Podział na cztery grupy mające działać w dniach następnych, przyczem spośród nich Golcz i Gorski wyruszają o g. 14, docierają na mułach do wys. ok. 2800 m, poczem wchodzą na grań Dżebel Khalifat i na niej zatrzymują się, g. 19.30, na biwak w wys ok. 3260 m.

17 lipca. Grupa A (Golcz, Gorski) opuszcza miejsce biwaku g. 7 w kierunku zwornika 3980 m na zach. od Amsodu. G. 9: wejście na zwornik, poza którym grań opada uskokiem. Odwrót, zejście 500 m ku zach. (g. 11) i wejście na M'Gun 2 (3980 m), poczem marsz dalej ku zach. przez Tizi Gugult (3640 m) na zbudowany z trzech wierzchołków M'Gun 1 (3920 m). G. 18.30: odejście z M'Gunu 1 spowrotem na M'Gun 2, gdzie biwak w wys. ok. 4000 m (g. 19.30).

Grupa B (Dorawski, Kiełpiński, Szczepański) jedzie na mułach przez Tizi Tafanfan (ok. 2800 m) na Tizi Ochri (3420 m). Stąd I. w. wsch. granią (łatwa wspinaczka) na dwuwierzchołkowy Dżebel Ochri (ok. 3600 m) i I. w. nieco trudną granią na oba wierzchołki Dżebel Maaral (ok. 3750 m). Następuje zejście ku wsch. na Wielką Halę (2980 m) i powrót przez górną część Dol. Arus, potem obchodząc po str. zach. wielki kenjon do obozu (g. 23.30).

Grupa C (Chwaściński, Wojsznis) opuszcza obóz g. 6.30 i wydostaje się na Tizi Tanaut (3140 m), skąd Wojsznis wchodzi sam (g. 12.30) na Dżebel Khalifat (3320 m). Zejście w Dol. Assif M'Gun na wys. ok. 2800 m, gdzie postój g. 13—14.15. Stąd wejście na Dżebel Tarkedit (4010 m), gdzie g. 20.15 biwak.

Grupa D (Groński, Korosadowicz) jedzie na mułach na Tizi Tanaut (3140 m), skąd Korosadowicz wchodzi jeszcze na grań Dżebel Khalifat. Groński nie czuje się w formie, obaj już w południe wracają do obozu.

18 lipca. Golcz i Gorski wyruszają z miejsca biwaku g. 7. Idąc główną granią Ichil M'Gunu o g. 7.45 wchodzą na M'Gun 3 (4010 m), o g. 9.10 na Dżebel Amsod (4070 m), o g. 9.50 na M'Gun 4 (3980 m) i o g. 10.30 na M'Gun 5 (3950 m). Następuje tu spotkanie z grupą Chwaściński-Wojsznis, która odeszła z biwaku o g. 9.25 i przyszła na M'Gun 5 od pn.-wsch. Grupa Golcz-Gorski idzie teraz na Dżebel Tarkedit (4010 m), poczem zawraca na przełęcz 3850 m pomiędzy Tarkedit a M'Gun 5 i schodzi z niej ku pn. (g 13). Następuje jeszcze, w g. 16—18. wejście na Dżebel Khalifat (3320 m) i powrót przez Tizi Tanaut (3140 m) do obozu (g. 22.30). Podczas tego Chwaściński i Wojsznis idą na M'Gun 4 (3980 m) i o g. 12.50 osiągają szczyt Amsodu (4070 m). Stąd zejście już wprost ku pn.-zach. do Dol. Arus, której kenjony zatrzymują powrót i zmuszają do jeszcze jednego biwaku w wys. ok. 2800 m.

19 lipca. Chwaściński i Wojsznis o g. 5 opuszczają miejsce biwaku i o g. 8.15 docierają do obozu. Wszyscy pozostali uczestnicy wyprawy zwiedzają w godzinach południowych główny kenjon Assif Arus. Popołudniu krótka burza i przelotny deszcz.

20 lipca. Działają cztery grupy, jako chorzy zostają w obozie Chwaściński, Dorawski i Szczepański.

Grupa A (Golcz, Gorski) o g. 7.30 opuszcza obóz i o g. 11.30 przejeżdża na mułach przez Tizi Ochri (3420 m) na Wielką Halę (2980 m). Stąd (g. 14) wyjeżdża na Tizi Gugult (3640 m), skąd przechodzi wielkim trawersem po pd. stronie masywu na przełęcz 3620 m i wchodzi na Dżebel Tazegzault (3890 m). Powrót na przełęcz i zejście ku pn.-zach. do kenjonu poniżej źródeł Assif Tessaut. Tu biwak na wys. ok. 3200 m.

Grupa B (Kiełpiński, Korosadowicz) przez Tizi Tafanfan (ok. 2800 m) przechodzi na Dżebel Tazirt (ok. 3160 m), poczem zwiedza pd. granią Dżebel Tafanfan (ok. 3060 m).

Wspólnie z grupą B wchodzi na Dżebel Tafanfan (ok. 3060 m) granią od Tizi Tafanfan (ok. 2800 m) Groński, cały czas idący pieszo. Schodzi on następnie wprost do obozu przez długą pn. grań tego wierchu.

Osobno wreszcie opuszcza obóz o g. 7 Wojsznis, udający się wraz z jednym żołnierzem i dwoma mułami przez Tizi Tanaut (3140 m) w Dolinę Assif Ifulen do Jaskiń Troglodytów. Zwiedza je w południe i biwakuje wśród nich, odesławszy wcześniej żołnierza i jednego mulnika.

21 lipca. Golcz i Gorski opuszczają miejsce biwaku o g. 8, wracają na Wielką Halę (ok. 2800 m), skąd przejeżdżają przez Tizi Ochri (3420 m; g. 11.30) i Tizi Tafanfan (ok. 2800 m), stając w obozie g. 17.

Wojsznis odjeżdża z miejsca biwaku, g. 5.45, na nieoznaczoną przełęcz z percią mułową w zach. części grani Dżebel Tiferdin. Stąd pieszo o g. 8.10 wchodzi na sąsiadujący z przełęczą wyodrębniający się wierch. G. 8.50: zejście na Tizi



Fot. J. K. Dorawski

HALA IKIS, W GŁĘBI PASMO AMSODU



Fot. J. K. Dorawski

DŻEBEL MAARAL

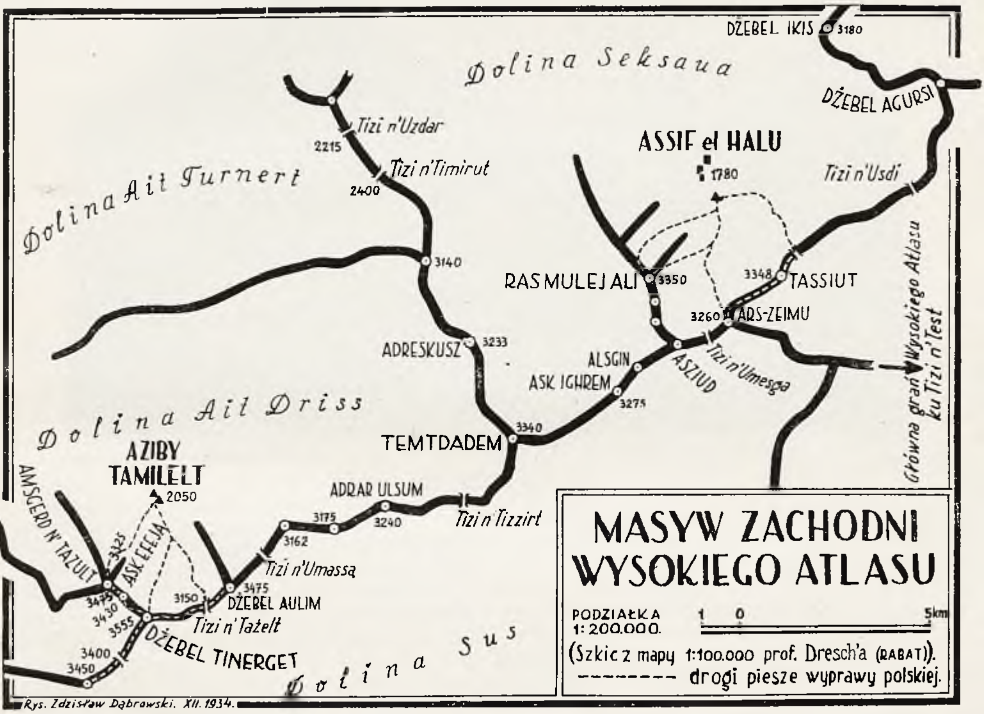
n'Ait Ami (2910 m), skąd trawersując ścieżką mułową grzbiety Taurirt schodzi w Dol. Ait bu Guemmez i z niej powraca do obozu o g. 12.30.

Popołudniu tegoż dnia przybywa do Ait Arus por. Gauthier. Wieczorem przyjęcie wydane przez sziura i tańce ludności tubylczej przy świetle ognisk.

22 lipca. Jeszcze pobyt w Ait Arus, w związku ze spotkaniem z por. Gauthier. Przyjęcie jego oraz jego tow. por. Plateau przez wyprawę.

23 lipca. Zwinięcie obozu IV. i o g. 7 odmarsz w drogę powrotną. Z Doliny Assif Arus przez Dolinę Ait Refeja w Dolinę Assif Rhat, skąd przez Igherm n'Umellul, Tizi n'Tilrist, Tirsal i Igherm n'u Ferdu do wsi Ait Tutlin, gdzie wieczorem rozpięto obóz V., na wys. ok. 1900 m.

24 lipca. Zwinięcie obozu V. i odmarsz już o g. 5.45. Przez Dol. Assif n'Gzef na Tizi n'Taliuin (2030 m), skąd szybki przemarsz karawany do Demnat przez szereg coraz niższych grzbietów i siodeł. Po drodze zwiedzenie kenjonu Imi n'Ifri. W Demnat g. 12.30. W g. 14—19 przejazd autobusem (przypadkowa okazja) do Marrakesz.



5. W MASYWIE ZACHODNIM WYSOKIEGO ATLASU.

Góry te zwiedzało tylko czterech uczestników wyprawy, z natury rzeczy musiało zatem wypaść tu już mniej zdobyczy, aczkolwiek powodzenie sprzyjało ekspedycji do samego końca. Wbrew przypuszczeniom — najniższy pod względem wysokości Masyw Zachodni okazał się jednak najciekawszy krajobrazowo, i pod względem alpinistycznym równie ciekawy jak Masyw Centralny (mając nad nim tę wyższość, że dotychczas poznany był tylko turystycznie). W tej, ostatniej, części wyprawy wróciły zatem do głosu momenty sportowe. Pozatem jednak organizacją karawany przypominała ona ekspedycję w M'Gun, posługiwano się bowiem w tej samej mierze mułami. Eskorta nie była tutaj potrzebna, wyprawa miała jednak tłumacza, wysłużonego sierżanta z wojska francuskiego imieniem Belaid ben Ali [1]). Całość działania w Masywie Zachodnim rozpadła się na dwa etapy.

[1]) Mulników było sześciu. Nazywali się oni: Ahmed ben Mobarek, Ali ben Ahmed, Si Hemmu ben Mulid, Hussein ben Ahmed, Mohammed ben Bihi, Mohammed ben Hemmu.

A) W Ait Driss (gniazda Tinergetu i Aulimu)

30 lipca. O g. 4 autobusem z Marrakeszu przez Sziszaua do Imi n'Tanut, gdzie (g. 8—9) Dorawski i Kiełpiński składają wizytę mjr. d'Hauteville, dowódcy okręgu. Dalszy przejazd autem do Nzala Argana (g. 11.30, 197 km od Marrakeszu), gdzie oczekują mulnicy z mułami. Wyprawę podejmuje kolacją i udziela noclegu p. J. Martinez, zastępca szefa okręgu. Upał dosięga 48° C w cieniu.



Fot. J. K. Dorawski

Ras Mulej Ali

31 lipca. Wyjazd g. 4.15. Przez pagórkowatą okolicę Ida Mahmud przejazd do wsi Azer, gdzie postój (g. 8—9) w oczekiwaniu mułów jucznych. Tu donajęcie jednego osła (w braku odpowiednich mułów). Późnem popołudniem dotarcie do wsi Imi n'gunt, gdzie na wys. ok. 1330 m obóz I.

1 sierpnia. Dalsza podróż na mułach ku górom aż do Azibów Tamilelt w Dol. Ait Driss, gdzie rozbicie obozu II., w wys. ok. 2050 m.

2 sierpnia. Podział na dwie grupy szturmowe.

Grupa A (Dorawski, Wojsznis) opuszcza obóz o g. 5.20 i dojeżdża na mułach do wys. ok. 2300 m. Następuje I. prz. ok. 560 m wysokiej, b. eksponowanej, trudnej i pięknej pn. ściany Dżebel Tinerget (3555 m; ogółem III. w.). Pn.-wsch. granią łatwo na Tizi Tażelt (3150 m), skąd (g. 14) wejście jeszcze częściowo nową drogą (granią pd.- zach. i stokami pn.) na Dżebel Aulim (3475 m; ogółem IV. w.). Powrót na przełęcz (g. 17) i do obozu (g. 19.30).

Grupa B (Kiełpiński, Szczepański) wyrusza z obozu o g. 6.45 i wchodzi od pn. na pn.-zach. grań Tinergetu w garbach Ask Efeja (3325 m). Stąd I. prz. tej grani przez nieznaczne garby Amsgerd n'Tazult (3415 m) i Dżebel Timildutn (3430 m). G. 15.30: dojście do Dżebel Tinerget. Stąd Kiełpiński schodzi odrazu na Tizi n'Tażelt (3150 m) i do Dol. Tamilelt, a Szczepański zwiedza jeszcze nienazwany szczyt ok. 3450 m na pd.-zach. od Tinergetu (g. 15.15), poczem powraca na Tinerget (g. 16.45; V. w. na Tinerget) i dopiero przez Tizi Tażelt schodzi wdół. W dolinie spotkanie obu grup i wspólny powrót do obozu.

3 sierpnia. Dzień odpoczynkowy.

4 sierpnia. Zwinięcie obozu i odmarsz o g. 5. Przejście przez szereg wsi (g. 12—14: postój we wsi Tanut) i Tizi n'Timirut (2400 m) w dorzecze górnej Seksaua, gdzie koło wsi Afensu na wys. ok. 1850 m rozbicie obozu III. W ciągu dnia silny wicher (słabe muły stale opóźniają pochód).

B) W Ait Seksaua (gniazda Tassiut i Ras Mulej Ali)

5 sierpnia. O g. 8.20 odmarsz ze wsi Afensu i przejście do Dol. Assif el Halu, gdzie powyżej wsi tejże nazwy rozbicie obozu IV. na wys. ok. 1840 m.

6 sierpnia. Podział na dwie grupy szturmowe.

Grupa A (Kiełpiński, Szczepański) wyrusza g. 6.30 z obozu, poczem w g. 8.30—17.30 dokonywa I. w. na Ras Mulej Ali (3350 m; ogółem III. w.) pn.-wsch. ścianą. Wejście w ścianę znajduje się w wys. 2480 m, stąd trudny i eksponowany teren skalny prowadzi do kotła skalno-trawiastego w wys. 2670 m. Następuje łatwiejsza część ściany aż do wys. 2940 m, w której osiągnięte zostało boczne, urwiste wsch. żebro szczytu. Na żebrze wspinaczka dość trudna. Zejście ku pn.-zach. i biwak na grani (g. 19) w wys. 3080 m. Temperatura w nocy +11° C.

Grupa B (Dorawski, Wojsznis) dokonywa tymczasem I. w. trudną pn.-zach. ścianą na Dżebel Ars-zeimu (3260 m), skąd przechodzi granią na Dżebel Tassiut (3348 m) i z przełęczy położonej odeń na pn.-wsch. schodzi wprost ku pn. (I. z.) i do obozu.

7 sierpnia. Kiełpiński i Szczepański opuściwszy miejsce biwaku o g. 6, schodzą bez żadnych trudności na g. 10 do obozu. Następuje jego zwinięcie i w g. 14.30—17.30 przejazd przez szereg wsi i grzbietów do wsi Tasseli nad górną Seksaua, gdzie w wys. 1520 m rozbicie obozu V., ostatniego obozu polskiej wyprawy w Atlasie.

8 sierpnia. Już przed g. 6 zwinięcie obozu i dalszy odjazd z gór. Poranek jest bardzo chłodny i daje wrażenie jakby przedwczesnej jesieni. Przez przełom Ued Seksaua i następnie szereg niżej położonych grzbietów i wsi o g. 17.30 dotarcie do Imi n'Tanut, gdzie zaraz rozwiązanie karawany i odjazd autobusem g. 18.30. G. 21: przybycie do Marrakeszu.

III. BILANS WYPRAWY

1. WYNIKI TURYSTYCZNE I ALPINISTYCZNE.

Wyprawa przebywała ogółem w głębi gór 44 dni, z czego na Masyw Środkowy przypada 16, na Masyw Wschodni 19, a na Masyw Zachodni 9 dni. W tym okresie czasu dokonano w Masywie Środkowym wejścia na 21 szczytów i 16 nazwanych turni (z czego na 2 szczyty trzykrotnie, a na 4 szczyty dwukrotnie), oraz w całości lub częściowo przebyto 15 przełęczy; w Masywie Wschodnim zwiedzono 26 wierchów (z czego 6 dwa razy), oraz przebyto 21 przełęczy, w czem 10 niedostępnych dla mułów; nakoniec w Masywie Zachodnim poznano 9 szczytów i nazwanych turni (z czego 1 szczyt dwukrotnie) oraz 4 przełęcze. Razem zatem zwiedzono w Wysokim Atlasie 72 szczyty i turnie oraz 40 przełęczy. Trzykrotnie zwiedziła wyprawa polska: Dżebel Tubkal i Dżebel Amcharas n'Igliua, dwukrotnie m. i. Dżebel Amsod, najwyższy w Masywie Wschodnim, Dżebel Tinerget, najwyższy w Masywie Zachodnim, oraz 4-tysięczny Dżebel Assif n'Timellilt. W czasie pochodów i przemarszów przebyto w Masywie Środkowym ok. 70 km drożyn górskich (pieszo), a w Masywie Wschodnim ok. 210 km (na mułach) i w Masywie Zachodnim ok. 120 km (na mułach). Dróg alpinistycznie bardzo trudnych zdobyto 5 (pd.-wsch. grań i pn.-wsch. ściana Amcharas n'Igliua, pn. ściana Likumt, pn. grań Inchemara Zachodniego i wsch. grań Turni Igenuan), dróg trudnych pokonano 9 (w. na Tikint n'Uanas, pn.-zach. ściana Tubkalu, pn.-wsch. grań Assif n'Timellilt, grań Turni Uanums, pn.-wsch. grzęda Uenkrimu Północnego, pd.-zach. grań Amcharas n'Igliua, pn. ściana Tinergetu, pn.-wsch. ściana Ras Mulej Ali i pn. ściana Ars-zeimu), pozatem innych dróg wspinaczkowych przebyto 18; reszta przypada na drogi technicznie łatwe.

W wyniku wyprawy poznano Wysoki Atlas jak żadna z dotychczasowych ekspedycyj, nie wyłączając ogólnej penetracji francuskiej, i przygotowano materjały do Przewodnika po tych górach.

2. WYNIKI NAUKOWE.

Wyprawa przeprowadzona była przedewszystkiem pod kątem widzenia alpinistyczno-turystycznym, dla którego czynności naukowe stały na planie ubocznym. Pomimo tego wykonano dwa szkice terenu, dotychczas nieskartografowanego wzgl. skartografowanego zgruntu fałszywie. W ten sposób przyczyniono się do zapełnienia wstępnego dotychczas istniejących na mapach Atlasu zupełnie białych plam, względnie do poprawienia kawałków mapy zupełnie fantastycznych. Szkice te reprodukujemy (wysokości mierzono aneroidem). Ponadto zebrano materjały petro-

graficzne dla użytku uniwersytetów: Krakowskiego i Poznańskiego oraz zebrano próbki gleb dla badań gleboznawczych w Uniwersytecie Jagiellońskim. Z szeregu odkryć geograficznych zasługują na szczególną uwagę trzy: a) zbadanie nieoznaczonych na mapie terenów części dorzecza górnej Tessaut, b) odkrycie źródeł tej wybitnej rzeki marokańskiej, i wreszcie c) stwierdzenie, że w Ichil M'Gun znajduje się całe gniazdo wierchów 4-tysięcznych.

3. WYNIKI PROPAGANDOWE.

Wyniki propagandowe wyprawy okazały się najzupełniej zadowalające i w całej pełni raz jeszcze wykazały wartość propagandową górskich wypraw egzotycznych. Ponieważ komitet organizacyjny wyprawy nie zawarł żadnej umowy dziennikarskiej o wyłączność sprawozdań, członkowie ekspedycji wysyłali prywatnie swoje korespondencje niemal do wszystkich dzienników polskich. Nie jesteśmy w możności, choćby ze względu na brak miejsca, ogłosić pełnego zestawienia artykułów na temat wyprawy, których ogółem ukazało się w prasie polskiej ok. 140 nie licząc mnóstwa drobniejszych notatek, telegramów i t. p. Podajemy tylko ogólny ich bilans:

1) «Gazeta Polska» (Warszawa) — pomiędzy 7 kwietnia a 7 września 18 opisów J. A. Szczepańskiego;

2) «Ilustrowany Kuryer Codzienny» (Kraków) — pomiędzy 23 czerwca a 10 sierpnia 6 opisów K. Piotrowskiego i pomiędzy 17 sierpnia a 19 października 6 opisów J. K. Dorawskiego. To samo pismo ogłosiło ponadto na wiosnę i w lecie kilka dłuższych redakcyjnych informacyj o wyprawie;

3) «Polska Zachodnia» (Katowice) — pomiędzy 23 czerwca a 6 września 11 opisów J. Golcza;

4) «Kurjer Poranny» (Warszawa) — pomiędzy 4 czerwca a 19 października 12 opisów B. Chwaścińskiego;

5) «Dziennik Poznański» (Poznań) — pomiędzy 27 czerwca a 26 października 9 opisów J. Wojsznisa;

6) «Kurjer Warszawski» (Warszawa) — pomiędzy 27 czerwca a 19 października 10 opisów Z. Korosadowicza;

7) «Dziennik Bydgoski» (Bydgoszcz) — pomiędzy 30 września a 11 listopada 6 opisów J. Kiełpińskiego;

8) «Polonia» (Katowice) — pomiędzy 7 października a 18 listopada 6 opisów J. Kiełpińskiego;

9) «Tygodnik Illustrowany» (Warszawa) — pomiędzy 21 października a 11 listopada — 2 relacje J. A. Szczepańskiego;

10) «Iskry» (Warszawa) — w listopadzie 3 relacje Z. Korosadowicza;

11) «Sprawy Morskie i Kolonjalne» (Warszawa) — zeszyt za czwarty kwartał 1934 r.: obszerne, ilustrowane sprawozdanie J. Wojsznisa;

12) J. A. Szczepański pisał pozatem o wyprawie w «Przeglądzie Sportowym» (Warszawa), «Polsce Zachodniej» (Katowice). «IKC» (Kraków) i «Dzienniku Poznańskim» (Poznań);

13) Z. Korosadowicz pisał pozatem o wyprawie w «Świecie» (Warszawa) i «Wiadomościach Geograficznych» (Kraków);

14) W ciągu lata pisali pozatem o wyprawie: J. Czoponowski («Polska Zachodnia», Katowice), Z. Dąbrowski («Kurjer Warszawski»), T. Kielpiński («Dziennik Bydgoski», «Polonia», «Dzień Kowieński»), W. Olszewski («Wiadomości Turystyczne», Warszawa), J. Orenburg («Polska Zbrojna», Warszawa), J. K. Petecki («Czas», Kraków) i i.;

15) Spośród wydawnictw, związanych z P. T. T., pisały o wyprawie «Wierchy» z 1934 r. (str. 191—193), «Taternik», XVIII, 121—128 i «Przegląd Turystyczny», nr. 9 i 10;

16) Liczne informacje o wyprawie (także nadawane przez PAT) ukazywały się zresztą w całej prasie, a wzmianki o niej przynosiły nawet takie pisma jak «Głos Polski», wychodzący w Buenos Aires, i «Petit Jurassien», wydawany w Moutier w Szwajcarji. Ogółem liczba dziennikarskich wzmianek wynosi spewnością ponad 1000 pozycyj;

17) Dwa główne dzienniki marokańskie, «La Vigie Marocaine» i «Le Petit Marocain», ogłosiły w lecie ogółem 11 artykułów na temat działalności wyprawy w Atlasie. Ewidencji innych głosów zagranicznych nie udało się przeprowadzić, w każdym razie były one wcale obfite.

Osobno należy tu uwzględnić przygotowane do druku — wzgl. już w druku znajdujące się — wydawnictwa książkowe na temat wyprawy, których omówienie wykracza poza zakres niniejszego sprawozdania.


MASYW
ICHIL M' GUN
WYSOKIEGO ATLASU
OPRACOWAŁ J. GOLCZ.
POMIARY WYPRAWY POLSKIEJ 1934.
PODZIAŁKA 1:125.000.
1 0 5
km.
Kierunek północny
przy deklinacji magnetycznej 16°
Główny punkt oparcia pomiarów: A m s o d 4070
Za pierwowzór przyjęto odległość: Amsod – T. Ohri: 8 km.
grań
SZCZYT (DŻEBEL)
Przełęcz (Tizi)
Potok
drogi
dostępne dla mułów
UWAGA: pisownia nazw polska.
Wykonał Zdzisław Dąbrowski. IX.1934.
ARUS
1960
Assif Arus
Assif Ifuten
DŻEBEL TAFANFAN
DŻEBEL TAZIRT
Tizi n'Tanault
3140
3320
DŻEBEL KALIFAT
2820
2970
Kenjon (Wodospady)
Kenjon (Wodospady)
3420
Tizi Ohri
DŻEBEL OHRI
DŻEBEL MAARAL
WIELKA HALA
2980
2970
2970
Kenjon (Wodospady)
3920
3950
4010
TARKEDIT
3880
3950
3850
M' GUN 4
3980
M' GUN 5
3970
3860
3840
4070
AMSOD
3980
3960
M' GUN 1
3640
M' GUN 2
3980
3840
4010
M' GUN 3
3920
Tizi Gugult
3900
3500–3550
3890
3690
3620
3660
<3500
3890
TAZĘGZAULT

Również osobno należy tu wymienić odczyty, które w różnych miastach Polski wygłaszał J. K. Dorawski, a także L. Gorski i Z. Korosadowicz. Zagranicą wygłosił 2 odczyty J. Golcz. Ogółem odczytów wygłoszono ok. 15.

Komitet Organizacyjny i Kierownictwo
Polskiej Wyprawy w Wysoki Atlas 1934 r.

WYPRAWA W TERENIE

Teren górski Wysokiego Atlasu jest krainą pierwotną w sensie turystycznym. Znaczy to, że zwiedzający ten teren jest zdany wyłącznie na własne siły i zasoby. Wprawdzie w Centralnym Atlasie Marrakeszu rozpoczęto już gospodarkę turystyczną przez wybudowanie dwóch schronisk, ale dla dłuższego pobytu większej karawany — jak np. nasza — nie miał ten fakt żadnego znaczenia. Ta grupa Atlasu jest tylko znacznie łatwiej dostępna i szybciej osiągalna. Nie trzeba specjalnego pozwolenia władz — wystarczy jeden dzień drogi z Marrakeszu autobusem a potem na mule lub pieszo. Nieporównanie trudniejsze podróżniczo są grupy Atlasu Wschodnia (Ichil M'Gun) i Zachodnia, których osiągnięcie zabrało nam pięć wzgl. trzy dni drogi. No i wymagało pozwolenia władz wojskowych, a nawet eskorty.

Taktyczne przeprowadzenie podróży i obozowania było we wszystkich trzech fazach wyprawy takie samo. Cała wyprawa udawała się jaknajszybszym marszem w głąb gór, gdzie zakładano obóz główny tak wysoko, by można było zeń osiągnąć okoliczne szczyty w jednym dniu. Z obozu głównego dokonywały poszczególne grupy jedno, dwu i trzydniowych wypadów. Po wyeksploatowaniu turystycznych problemów okolicy przenoszono obóz główny w inne miejsce.

Technicznie przeprowadzano podróż w ten sposób, że karawana mułów i koni (turyści i eskorta jechali wierzchem — mulnicy szli pieszo) wyruszała zwykle o 7-mej lub 8-mej rano, po czterech do pięciu godzinach marszu urządzano dwugodzinny postój, poczem znów cztery godziny marszu. Około godz. 18-tej rozwijano obóz. Turyści spali w namiotach — mulnicy pod golem niebem. Tak samo było i w obozach głównych.

Aby sprostać swemu zadaniu musiała mieć wyprawa odpowiedni co do jakości i ilości ekwipunek oraz zapasy.

a) E k w i p u n e k p o d r ó ż n i c z y. Wielkie, numerowane wory z żaglowego płótna (wymiarów 130 × 80 cm) mieściły w sobie cały ekwipunek wyprawy. Waga worów naladowanych wynosiła po około 30 kg. Swoje rzeczy osobiste każdy uczestnik miał spakowane w zwykłym worku turystycznym, który w całości wkładany był do wora jukowego. Uczestnicy używali w podróży zwyczajnego lekkiego ubioru turystycznego z tą modyfikacją, że jako nakrycia głowy stosowano hełmy tropikalne — nogi zaś obute były w lekkie trzewiczki. Przy sobie na mule trzeba było mieć tylko manierkę na wodę i aparat fotograficzny oraz... rewolwer systemu «Nagant».

Żywność spakowana była w paczki drewniane różnych wymiarów, o ciężarze od 10 kg do 30 kg.

b) E k w i p u n e k o b o z o w y. Wyprawa dysponowała czterema namiotami. Trzy namioty były domkowe firmy «Kera» (dwa czteroosobowe i jeden trzyosobowy) — czwarty, zresztą rzadziej używany, to wysokogórski namiot dwuosobowy. Namioty naogół dobrze spełniły swe zadanie; tylko bambusy rusztowania okazały się za słabe na silne wichry. Wszyscy uczestnicy posiadali śpiwory. Za wyjątkiem Masywu Zachodniego, gdzie panowały wielkie upały, użycie śpiworów było konieczne spowodu chłodnych nocy. Każdy namiot zaopatrzony był w moskitjerę. Niestety moskitjery, kupione w Marrakeszu, okazały się nieco za małe, tak że spełniały swą rolę ochronną nieświetnie.

Naczynie kuchenne składało się z dwóch garnków 10-ciolitrowych, sagana 5-ciolitrowego, kompletu trzech menażek aluminjowych (dwie głębokie i jedna płaska) $^1/_2$ litrowych oraz kubka $^1/_4$ litr. na każdą osobę, odpowiedniej ilości noży, widelców i łyżek. Zaznaczyć trzeba, że doszliśmy do przekonania, iż praktyczniejsze w użyciu obozowem od menażek byłyby talerze aluminjowe. Gotowano zawsze (z wyjątkiem wysokich obozów c grupie Tubkalu) na ognisku z suchorostów. Wyprawa posiadała jednak 2 duże primusy naftowe.

Do oświetlania obozu używano latarek świecowych i elektrycznych.

c) Ekwipunek wysokogórski posiadał każdy uczestnik analogiczny do używanego w lecie w Tatrach — liny, haki, karabinki, młotki, czekany. Ekwipunek ten nie był potrzebny jedynie w Masywie Wschodnim.

Jako sprzęt biwakowy posiadała każda grupa płachtę Zdarsky'ego. Do gotowania używano maszynek spirytusowych. Niezbędne były manierki na wodę w ilości conajmniej 1 litr na osobę.

Specjalny problem stanowiło nakrycie głowy, ponieważ hełm tropikalny przy wspinaczce okazał się zupełnie nieodpowiedni. Najlepszym sposobem zabezpieczenia się przed działaniem słońca okazało się sporządzenie z ręcznika rodzaju turbana czy haika.

d) Żywność. Miejscem jej zakupu był Marrakesz. Gros jej stanowiły konserwy w b. wielkim wyborze i b. tanie. A więc konserwy rybne, mięsne, jarzynowe (kapusta, szparagi, groch), z homarów i krabów, owocowe (gruszki, wiśnie, śliwki, ananasy). Dalej najróżniejsze sery, w małej ilości twarda kiełbasa (salami), słonina. Jako tłuszcze masło, doskonale się przechowujące, bo na postojach zanurzane w wodzie, i oliwa. Zamiast chleba doskonałe suchary i keksy. Pozatem cukier, mąka, makaron i kasze — na deser czekolada i cukierki. Surowe produkty: jabłka, cytryny i cebula. Jako napoje kakao, mleko kondensowane, herbata, owomaltyna, Dla urozmaicenia menu nabywaliśmy już w górskich osiedlach kury i jaja, jedyne zresztą produkty, jakie można było dostać.

Warto zanotować jako charakterystyczne dla Marokka curiosum, że żywność ta pochodziła z całego nieomal świata: «corned beef» argentyński, ananasy z Singapore, kraby z Japonji, homary z Kanady, kapusta z Danji, sardynki portugalskie, cytryny hiszpańskie, suchary i keksy angielskie, mleko kondensowane holenderskie, etc.

e) Różne. Oczywiście musiała mieć wyprawa dość kompletną apteczkę. Główną rolę spośród wszystkich jej leków odegrały środki sanujące zaburzenia trawienia oraz różne maści, chroniące skórę przed oparzeniem słonecznem względnie leczące jego skutki.

Niemały był też ekwipunek fotograficzny, jeśli się zważy, że dysponowaliśmy siedmioma kamerami różnej wielkości i systemu.

Całość zapasów podzielona była na dwa działy: ekwipunek i żywność, osobno zarządzane przez dwóch specjalnie zajmujących się niemi członków wyprawy.

JAN K. DORAWSKI

KRONIKA ALPINISTYCZNA

Alpinizm w Średnim Atlasie. Interesujący artykuł na temat «D'inverno nel Medio Atlante» ogłosił hr. L. Bonzi w «Rivista mensile del CAI» z maja 1934 r. (str. 221—226). Atlasem Średnim (dawniej nazwanym Niskim, por. «Taternik» XVIII, 123; obecnie nazwę Atlasu Niskiego nadaje się raczej t. zw. Atlasowi Tellskiemu w Algierze) nie interesowali się alpiniści przed 1934 r., góry to zresztą o kształtach kopułastych, mające swą wartość wysokogórską właściwie tylko w zimie. Właśnie o tej porze roku (częściowo na nartach) zwiedziła je pierwsza ekspedycja

alpinistyczna w tych górach, którą składali Włosi: Leonardo Bonzi, Dado Sommi i Bonifacio di Soragna. W dniu 26 lutego 1934 r. dokonali oni I. turystycznego wejścia na Dżebel bu Iblan 3110 m i Mussa u Salah 3195 m, a w dniu 1 marca t. r. dalszych wejść na Dżebel Tauszgelt 3120 m, Gaberhaal 3280 m i wreszcie na Dżebel Ali 3370 m, najwyższy szczyt całego masywu. Wyprawie towarzyszyła eskorta wojskowa, złożona z 10 żołnierzy.

Kurczenie się egzotyzmu w górach. W naszych czasach — generalnego ataku do wszystkich bez wyjątku gór świata — coraz to inne łańcuchy górskie, do niedawna w pełni egzotyczne, wchodzą do rodziny gór dokładnie zwiedzonych i łatwo dostępnych. Kończy się Kanada jako teren gór egzotycznych, przestały być czystym egzotyzmem Alpy nowozelandzkie, w szybkiem tempie zmierzają do «ucywilizowania» wszelkie góry Afryki. Nic więc dziwnego, że i oba najmniej znane gniazda górskie w Europie, iberyjskie Picos de Europa i bałkańskie Alpy Albańskie — podzielają w całej pełni los gór Europy środkowej czy północnej.

Picos de Europa (Torre de Cerredo, 2642 m) jeszcze przed kilku laty były krainą górską prawdziwie egzotyczną i nieznaną. Ale gdy narodził się alpinizm hiszpański, tajemniczość tych gór odrazu «koniec wzięła». I dziś na Naranjo de Bulness (2586 m), najpiękniejszą sportową górę Hiszpanji, prowadzi już szereg dróg wspinaczkowych, w oparciu o ogólny ruch turystyczny, przewodnictwo, schroniska i t. p.

Podobny los dzielą z hiszpańskiemi *picos*, albańskie *maje*. Jeszcze w 1931 r. była o nich mowa jako o doskonałym terenie dla działalności odkrywczej naszych taterników. Ale od tego czasu, w ciągu paru lat sytuacja zmieniła się z gruntu. Ku niewyeksploatowanemu a niedalekiemu terenowi, popłynęła wielka fala alpinistów jugosłowiańskich i niemieckich, która tym pięknym i wspinaczkowym, ale ostatecznie ani wysokim (Jezerce 2700 m, Briasit 2620 m, Tibs 2580 m) ani trudno dostępnym (dzień podróży od portu w Durrës) górom rychło «dała radę». Pani Marta Debelakova, dr Bernard Bauer, dr Alfred Martin, dr Ludwik Obersteiner i Rolf Richter (znany w Tatrach z wyprawy w 1932 r.) — oto nazwiska najbardziej w Albanji czynnych alpinistów. Ostatecznie zwiedzono już tutaj każdy wybitniejszy szczyt i rozwiązano wiele sportowych problemów. Na szczególną uwagę zasługują tu zwłaszcza dwie zdobycze z 1934 r. w grupie Balbona: I. w. na urwistą Maja Preslopit 2395 m (Bauer, R. Hüttig, Martin i Obersteiner) oraz I. prz. ok. 900 m wysokiej pn. ściany Maja Shabores (Niemcy K. Malina i H. Schmidt).

Po stuprocentowy egzotyzm w wielkim stylu trzeba dziś jechać aż w zapadłe zakątki Chin, Tybetu, czy Nowej Gwinei.

Na pochyłej drodze. Dwanaście wejść alpinistycznych wyróżniły urzędowe czynniki włoskie w wykazie sportowców, odznaczonych w XII roku ery faszystowskiej «per imprese eccezionali»: zdobycie Golden Throne («Taternik», XIX, 100), I. w. pn.-zach. ścianą na Punta Degasperi (Zanutti i Benedetti, 2 sierpnia), nowe wejścia na Torre Trieste, Brenta Alta i Torre Venezia, I. w. pn.-wsch. żlebem na Mont Blanc du Tacul (Chabod i Gervasutti, 13 sierpnia), I. w. pn.-wsch. ściną na Dente del Sassolungo (Soldà i Bertoldi, 22 sierpnia), zdobycie pn.-zach. ściany Pic d'Olan («Taternik», XIX, 79), I. w. pn.-wsch. ścianą na Cima Margherita (Standeri i Migliorini, 24 sierpnia), zdobycie pn.-zach. ściany Punta Civetta («Taternik», XIX, 101), I. w. filarem Campanil Basso (Graffer i Miotto, 31 sierpnia) i wreszcie I. w. środkiem pn.-wsch. ściany Cimone della Pala (Mary Varale, Andrich i Bianchet, 7 września).

NOTATKI

Literatura. Ibn Chaldun, historyk arabski z XIV wieku, opisuje Atlas (cyt. *Le Maroc* V. Piquet'a, Paris 1920, str. 142): «..Korzenie Adrar n'Deren dochodzą do głębin ziemi, szczyty zaś wznoszą się do nieba i zapełniają przestrzeń swoim ogromem».

Ferdynand Antoni Ossendowski, współczesny podróżnik i literat polski, pisze (w *Płomiennej północy*, Lwów—Poznań 1926, str. 303): «...wbiegł dyrektor hotelu i z krzykiem:

— Niech państwo idą prędzej, prędzej! — znikł.

Wybiegłem za nim. Wprowadził mnie do pokoju z oknami wychodzącemi na południe.

— Proszę patrzeć! W tym czasie nigdy się to nie zdarza!

Nad koronami palm, o jakie 50—60 km od Marrakeszu, zaczynają się podnosić, piętrząc się coraz wyżej i groźniej, grzbiety Wysokiego Atlasu. We wrześniu

i w październiku najwyższe szczyty pozostają jeszcze pokryte białemi obłokami. Widać zwykle tylko szafirową ścianę gór. Teraz zaś nad tą ścianą połyskiwały lśniące śniegiem i lodowcami najwyższe szczyty... Następnie wszystko znikło za opadającą zasłoną gęstych obłoków. Zjawisko trwało zaledwie kilka minut, lecz było wspaniałe i piękne. Znowu się przekonałem, że szczęście towarzyszy mi w podróżach».

Nasze ilustracje. Podajemy bliższe objaśnienia niektórych naszych ilustracyj, mogące zainteresować czytelników:

1) fotografja W głębi Ait Mizan została wykonana z dolnego obozu ekspedycji w tejże dolinie (2340 m) i ukazuje grań Uenkrimu Północnego z ostro zaznaczającą się turnicą Tadat;

2) Tubkal od południa zdjęty jest z jego pd.-zach. grani, z wys. ok. 4050 m. W pośrodku ściany silnie uwydatnia się pd. żleb, zwiedzony przez polską wyprawę. Na zdjęciu na pierwszym planie J. Kiełpiński i J. A. Szczepański (w «haiku» na głowie);

3) na fotografji Amcharas n'Igliua lewa grań jest pd.-zach. (boczna), a prawa pd.-wsch. (główna). Obie zostały zrobione przez wyprawę, podobnie jak i reprodukowana osobno pn.-wsch. ściana Amcharas;

4) w pn. ścianie Tikint n'Uanas stoi L. Gorski, siedzi J. A. Szczepański;

5) Zdjęcie Dżebel Maaral wykonane zostało od strony Dżebel Ochri. Stoją J. Kiełpiński i J. A Szczepański;

6) Na wierzchołku Tubkalu stoją, dnia 18 czerwca 1934 r., L. Gorski, Z. Korosadowicz i B. Chwaściński;

7) Z pn. ściany Ars-zeimu widać w głębi jeden z nienazwanych i niezwiedzonych szczytów na południe od Ras Mulej Ali. Na pierwszym planie J. Wojsznis;

8) na przyjęciu w kazbie u sziura w Ait Attik są widoczni J. Golcz, L. Gorski, B. Chwaściński i J. Wojsznis. W oknie na podwyższeniu siedzi Thami, brygadjer, dowódca eskorty. Naprzeciw Europejczyków siedzi sziur z Ait Attik i żołnierz Mohammed. W głębi stoi brat sziura;

9) obrazek rodzajowy naparzania herbaty marokkańskiej zdjęty został we wsi Amdros w Masywie Zachodnim. W pośrodku sierżant Belaid ben Ali;

10) fotografja Turni Aferrui, aż do 1934 r. dziewiczej i nienazwanej, dokonana została od zach., spod pn. ściany Tikint n'Uanas. Na śniegach Doliny pod Imus-zerem stoją L. Gorski i J. A. Szczepański;

11) Ras Mulej Ali zdjęty został od pd.-wsch., z wierzchołka Ars-zeimu. Szczyt Muleja Ali zwrócony jest ku widzowi swą dziewiczą dotychczas ścianą wsch. Na lewo od wierzchołka ciągnie się niezwiedzona dotychczas grań pomiędzy Ras Mulej Ali a Asziud, dwa widoczne na zdjęciu wzniesienia są dotychczas niezdobyte i nienazwane. Na prawo od wierzchołka opada boczne wsch. żebro, poza którem dopiero znajduje się zdobyta przez polską wyprawę największa pn.-wsch. ściana szczytu;

12) Dżebel Tachrat sfotografowany jest od pn.-zach., z dolnego obozu wyprawy polskiej w Ait Mizan.

Peter Müllritter w Polsce. W dniu 26 stycznia b. r. bawił w Łodzi Peter Müllritter, uczestnik wyprawy z 1934 r. na Nanga Parbat, wygłaszając w ruchliwem i sympatycznem Kole Taterników Łodzian odczyt na temat tragicznej niemieckiej wyprawy. Serdecznie przyjmowanego gościa witał cały Zarząd Koła, z prezesem p. Czesławem J. Bajerem, członkiem STPTT, na czele.

Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.